

● CENA 4 ZŁ ●

● 21. XII. 1979 ROKU ●

● ILUSTROWANY TYGODNIK ZAGŁĘBIA MIEDZIOWEGO ●

KONKRETY

nr 51
52

POGODNYCH



ŚWIĄT !



DOBREGO



ROKU 1980 !



Fot. Krzysztof Raczowski

KRAJ

STYCZEŃ. I sekretarz KC PZPR Edward Gierk udekorował sztandar Poznania Krzyżem Grunwaldu I klasy, przyznającym temu miastu w 60 rocznicę Powstania Wielkopolskiego. Wysokie odznaczenia państwowe otrzymać też wielu weteranów powstania.

LUTY. Sejm PRL uchwalił ustawę o jakości wyrobów, usług, robót i obiektów budowlanych. Dokonał też zmian na stanowiskach rządowych. Józef Teichma został ministrem oświaty i wychowania, Józef Kępa — ministrem administracji, gospodarki terenowej i ochrony środowiska, Maria Milezarek — ministrem pracy, płac i spraw społecznych.

MARZEC. Z oficjalną wizytą przebywała w Polsce delegacja partyjno-rządowa Czechosłowacji z sekretarzem generalnym KPCz prezydentem Gustavem Husakiem i premierem Lubomirem Strougałem. I sekretarz KC PZPR Edward Gierk i premier Piotr Jaroszewicz prowadzili z nimi rozmowy w woj. króśnieńskim.

KWIECIEŃ. Polskę odwiedziła powódź. Setki tysięcy ha nad Narwią i Bugiem znalazło się pod wodą. Z pomocą pośpiesznych żołnierze WP.

MAJ. W Polsce przebywał senator Edmund Muskie jako osobisty przedstawiciel prezydenta Cartera. Jego list wręczył Edwardowi Gierkowi. Był też gościem Instytutu Pediatrii AM w Krakowie, zbudowanego przy wydatnej pomocy amerykańskiej Polonii.

CZERWIEC. Z 10-dniową wizytą — pielgrzymką na zaproszenie Episkopatu Polski przebywał w swym ojczystym kraju papież Jan Paweł II. W pierwszym dniu wizyty został przyjęty przez I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka i przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego.

LIPIEC. W Lublinie, pierwszej stolicy Polski Ludowej, Edward Gierk odsłonił pomnik Bolesława Bieruta — pierwszego prezydenta tego miasta. W Warszawie z okazji 35-lecia PRL 10 wybitnych naukowców otrzymało specjalne nagrody państwowe.

SIERPIEŃ. Na pl. Powstańców Warszawy w stolicy odsłonięto płytę upamiętniającą wybuch Powstania Warszawskiego.

WRZESIEŃ. W 50 rocznicę napadów hitlerowskiej na Polskę cały naród oddał hołd poległym w walce bohaterom. Główne uroczystości z udziałem I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka odbyły się na Westerplatte i w Gdańsku.

PAŹDZIERNIK. W Warszawie obradowało XVI Plenum KC PZPR, które postanowiło zwołać VIII Zjazd PZPR na dzień 11 lutego 1980 r. Przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński złożył oficjalną wizytę królowi Belgii Baudouinowi I.

LISTOPAD. Przedmiotem pierwszego w sesji jesiennej posiedzenia Sejmu PRL była sytuacja w naszej energetyce. Sejm postanowił poddać pod społeczną konsultację projekt znówelizowanego KPA.

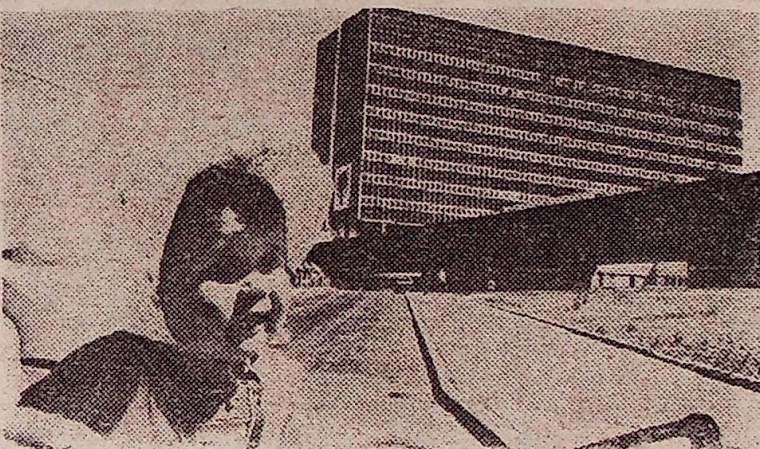
GRUDZIEŃ. Konferencja wojewódzka w Katowicach z udziałem I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka zainaugurowała ostatni etap kampanii sprawozdawczo-wyborczej w PZPR. Edward Gierk został jednogłośnie wybrany delegatem na VIII Zjazd partii.

W marcu Stocznia im. Komuny Paryskiej wodowała jednocześnie trzy statki zbudowane w II suchym doku.

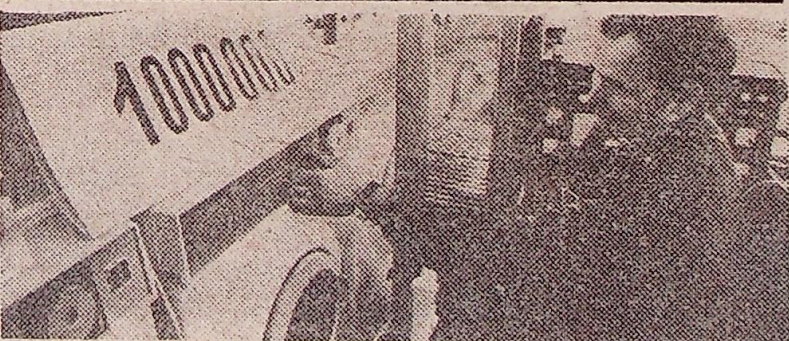


Piotrków Trybunalski. Gospodarzowi dożynek Edwardowi Gierkowskiemu asystują starostowie Barbara Rytych i Stanisław Szmalc.

W styczniu uroczysty koncert w Sali Kongresowej PKiN zainaugurował w Polsce MRD. Wśród harcerzy — prof. Henryk Jabłoński, przewodniczący Polskiego Komitetu Obchodów MRD.



3 czerwca przekazano do użytku zasadniczą część Pomnika — Szpitala Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie.



Milionową pralkę automatyczną wyprodukowała niedawno załoga Zakładów „Predom-Polar” we Wrocławiu.



20 listopada w Legnicy odbyła się ogólnopolska inauguracja XIII Dni Książki Socjalno-Politycznej.

Centralne obchody Dnia Górnika odbyły się na Śląsku z udziałem I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka, członków Biura Politycznego i Sekretariatu KC PZPR.



W KILKA dni po tym wydarzeniu spotkałem się z braćmi Owsikowskimi. W mieszkaniu Kazimierza Owsikowskiego w Głogowie zebrał się wszyscy, którzy mogli przybyć. Była więc córka, Irena Hejny z mężem i synem Bernardem, a także Henryk i Józef Owsikowscy. Zabrakło tylko Jana i Janiny, którzy mieszkają poza województwem legnickim. Nie było też — niestety — pani Stanisławy, która kilka dni wcześniej wróciła do domu w Dziadowej Kłodzie (woj. kaliskie), by pilnować gospodarki.

— Niewiele już ziemi rodzicom zostało — mówi Kazimierz Owsikowski — ale dla matki i starszego od niej o 13 lat ojca roboty jest moc. Proponowaliśmy nieraz, by sprzedali wszystko i zamieszkali z którymś z nas. Ale nie chcą. — Póki sił starczy — mówią — zostaniemy.

— Nie dziwię się rodzicom, że ciężko jest im zostawić to, czego się dorabiali przez całe życie — dodaje Irena Hejny. — Matka z ojcem, kiedy się pobrali, nie mieli prawie nic. Dziesięć lat po ślubie, za własne oszczędności kupili stawy rybne. Ledwo zaczęli je użytkować, wybuchła wojna. W czasie okupacji ojciec musiał się ukrywać, a stawy zniszczyli Niemcy. Cóż więc mama miała robić, by wyżywić czwórkę dzieci w wieku od roczku do 8 lat? Chodziła nocą na pola zbierać kłosy, wyłuskiwała z nich ziarenka i po zmieleniu na żarnach miała mąkę na chleb. Co nieco dali sąsiedzi i rodzina, to musiało wystarczyć... Pamiętam, że jak ojca aresztowali, to mama przygotowała dla niego paczkę. Włożyła w nią wszystko, co było w domu: kilka jajek, biały serek, kawaleczek kielbasy i dosłownie parocentymetrowy plasterk słoniny... Często przychodzili też do nas partyzanci. Mama zawsze powtarzała: Czym chata bogata, tym rada...

— Janka i ja byliśmy wtedy najstarsze — kontynuuje pani Irena. — Miałymy po 8 i 6 lat. Kazik miał niecałe trzy latka, a Jan zaledwie roczek. Kiedy mama szła na widzenie z ojcem, albo do pracy, musiałyśmy opiekować się młodszym rodzeństwem. Kto z nas wtedy myślał o nauce... Ale mama, chociaż w zasadzie niepiśmienna, podsuwała nam książki i mówiła: Uczcie się dzieci, uczcie, przyjdą inne czasy, to wam się przyda...

— Po wojnie kiedy zamieszkaliśmy w Dziadowej Kłodzie — wspomina Kazimierz Owsikowski — i chodziliśmy już do szkoły, a któreś z nas wołało np. popływać w rzece niż odrabiać lekcje, mama gonila z pasem i krzyczała: „Wy, próżniaki!”. A kiedy wściekli zasiadaliśmy nad książką, mówiła: „Jak nie będziesz się uczył, to będziesz później kamienie tłuci”.

— Mama w ogóle nie cierpiała lenistwa — dodaje Józef Owsikowski. — Wymagała od siebie, wymagała od nas i nie przecho-

Na twarzy starszej kobiety maluje się wzruszenie. Jakby z niedowierzaniem przygląda się odznaczeniu. Bo niby za co? Przecież po prostu przez całe życie była tylko matką. Czy to coś nadzwyczajnego? Ile takich jak ona matek jest w Polsce...? I chyba każda z nich chciałaby dobrze wychować swoje dzieci...

Wzruszenie widać także na twarzach górników, niełatwo przecież poddających się takim „niemęskim” uczuciom. Ukrywają je za gromkimi oklaskami. Przy wtórze braw **STANISŁAWA OWSIKOWSKA** — matka czterech górników, otrzymuje odznakę „Zasłużony dla ZG „Polkowice”.

MATKA

ozna obojętnie obok ludzi, którzy nie pracują, jak należy. — Za co im płaca? — mówiła, gdy na drzwiach sklepu wisiała kartka „Wyszłam, zaraz wracam”. „Co wy, sąsiedzie, robicie, że na waszym polu tyle chwastów?”.

— Mama zawsze nas uczyła życzliwości do ludzi. „Sznuj innych, to ciebie będą szanować” — tak zawsze nam mówiła — wspomina Henryk Owsikowski.

— Mamę porównałbym do behapowca w zakładzie pracy — dodaje Kazimierz. — Dbała o nasze wychowanie, bezpieczeństwo i baczyła, byśmy żyli uczciwie, ale za nieposłuszeństwo karała...

W takiej atmosferze chowała się szóstka młodych Owsikowskich. Zasady wpajane przez matkę miały wkrótce zakiełkować, ale jak się okazało — już na innym gruncie. Rodzinne gniazdo jako pierwsza opuściła Irena. Najpierw uczyła się we Wrocławiu...

— Ciężko było dojeżdżać — wspomina. — Najbliższy przystanek autobusowy był 5 kilometrów od wsi, a do miasta jechało się godzinę. Czasem byłam załamana, chciałam to wszystko rzucić, ale wtedy z duchową pomocą przychodziła mama. — Kijem się zapieraj, ale idź — powtarzała.

Gdy Irena zaczęła pracować, wyjechała z mężem do Wałbrzycha.

— Przed ślubem przyjechałam do Dziadowej Kłody poznać rodziców mojej przyszłej żony — wspomina Henryk Hejny. — Bardzo mi się u nich spodobalo. Długo schludny, obojętnie zadbane... Teściowa stała w białym fartusku przy piecu... A najbardziej do gustu przypadło mi ciasto drożdżowe jej wypieku. Pulchne, wyrosnięte, rumiane, palce lizać...!

Następnym, któremu zasmakował inny niż rolniczy chleb, był Kazimierz. Za siostą trafił do Wałbrzycha, a za namową szwagra do kopalni.

— Mama nie sprzeciwiała się naszym planom — wspomina pan Kazimierz. —

Nigdy też nie narzucała, kim mamy być. — Rób to, co uważasz za słuszne — powtarzała — wybierz taką pracę, abyś był z niej zadowolony, bo tylko wtedy będziesz wykonywał zawód uczciwie.

Po Kazimierzu wyjechał do Wałbrzycha Jan, a po nim, tym razem do Koszalina, najstarsza z rodzeństwa — Janka. Tak więc pod koniec lat pięćdziesiątych z rodzicami na gospodarce pozostali tylko urodzeni po wojnie Henryk i Józef. „Uciekinierzy” zjawiali się w Dziadowej Kłodzie, o ile tylko czas pozwalał — co niedziela.

— Gdy zbliżała się godzina przyjazdu autobusu — wspomina Henryk — mama z niecierpliwością patrzyła na drogę, jakby wywróżyć sobie chciała: przyjadą czy nie?

— Pamiętam, że dość długo nie przyjeżdżałam kiedyś do mamy — mówi Irena — tak że mój przyjazd był nieoczekiwany. W domu nie zastałam nikogo, poszłam więc w pole...

— O! Już jesteś — ucieszyła się mama — weź się szybko do roboty, bo idzie na deszcz...

— Jak każda mama, cieszyła się, że dzieci do niej przyjadą — mówi Kazimierz.

— Kiedy zasiadaliśmy do kolacji, każdego z nas po swojemu rozliczała: — A jest z ciebie tam jakiś pożytek? — pytała. Miałem już kilkuletnią córkę, a czulem się w takim momencie jak uczniak...

— Kiedy mama nie mogła doczekać się przyjazdu, wsiadała do pociągu i jechała do dzieci — wspomina Józef. — Ciągnęła ją nie tylko tęsknota. Bała się o nas. — „Dawno nie pisali, może jakiś wypadek” — mówiła.

W roku 1971 Stanisława Owsikowska pozostała na gospodarce tylko z mężem. Już czterech synów było górnikami. Jan — w Wałbrzychu. Kazimierz, Henryk i Józef — w ZG „Polkowice”. Do Głogowa przyjechała również Irena. Natomiast Janka nadal mieszka w Koszalinie. Wydłużyla się więc droga Owsikowskiej do dzieci, ale matczyne uczucia nie osłabły. Przynajmniej raz w roku stara się być u każdego z nich. Narzeka tylko, że oni za rzadko przyjeżdżają do Dziadowej Kłody: — To ja mam tyle lat i mam siłę ruszyć się z miejsca, a wy? — pyta. Ale w jej głosie jest więcej matczynego uczucia niż pretensji...

Wszyscy Owsikowscy „skarżą się”, że babcia wnuki rozpieszcila. To, za co Janka, Irena, Kazimierz, Jan, Józef i Henryk kiedyś porządnie obrywali, Mirce i Bernardowi uchodziło „na sucho”. (Bernard też już jest górnikiem w ZG „Polkowice”, a Mirka prawie maturzystką). Więcej — babcia zawsze stawiała w obronie wnucząt. „Dlaczego nie mają się bawić, na pracę przyjdzie jeszcze czas” — tłumaczyła rodzicom, gdy wnuczek wołał pograć w piłkę, niż pomóc przy żniwach.

— U babci wszystko było wolno — mówi Mirka Owsikowska. — Babcia nigdy nie traktowała nas surowo...

— Tak, tak — kiwa głową Bernard — ale mimo że czas u babci dzieliliśmy między jedzenie, a zabawę, pilnowała, abyśmy za bardzo się nie rozbisurmanili... Pamiętam, że kiedyś chciałem zjeść placek z jagodami i nie miałem ochoty na dzielenie się z młodszą siostrą. Wstyd mi się zrobiło, gdy babcia powiedziała: Oj, nieładnie nie podzielić się z nikim...

— Podoba mi się u babci to, że jak przyjedzie, to nie interesuje się wyłącznie naszymi osobistymi sprawami. Ciekawa jest również, ile kosztuje wybudowanie kopalni, ile rudy dziennie wydobywamy, jakie mamy warunki pracy itp...

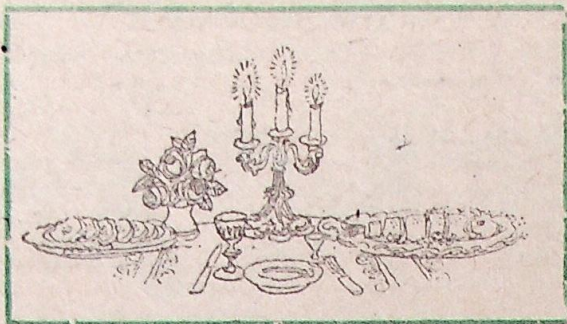
Stanisławie Owsikowskiej dzieci i wnuki mogłyby jeszcze wiele powiedzieć. O ukrywaniu podczas okupacji jeńców alianckich, o tym, jak zaczynając dwukrotnie od podstaw zbudowała z mężem dom i prowadziła 10-hektarowe gospodarstwo... Bogaty jest życiorys blisko 70-letniej kobiety, która czterech synów oddała górnictwu.

ZBIGNIEW KRUPA



W czasie tegorocznej Barbórki p. Stanisława Owsikowska otrzymała odznakę „Zasłużony dla Zakładów Górniczych „Polkowice”.

Polacy „najuroczyściej zaś z wieczorną ucztą postną obchodzili wigilię Bożego Narodzenia. Stawianie snopów zboża po rogach izby, w której zasiadają do uczy wigilijnej, dotąd napotykanie u ludu, było zwyczajem niegdyś we wszystkich warstwach powszechnym. Wieczera wigilijna u ludu składała się zwykle z potraw siedmiu, szlachecka z dziewięciu, pańska z jedenastu. Kto ilu potraw nie skosztuje, tyle go przyjemności w ciągu roku ominię”. Tyle „Encyklopedia Staropolska Ilustrowana” Zygmunta Głogera, wyd. 1900—1903.



NATOMIAST Julian Ursyn Niemcewicz we wspomnieniach swego dzieciństwa pisał: „Wigilia Bożego Narodzenia była wielką uroczystością... Dnia tego jednakowo po całej mojej Polsce był obiad. Trzy zupy, migdałowa z rodzynkami, barszcz z uszkami, grzybami i śledziem, kucja dla służących, krążki z chrzanem, karp do podlew, szczupak z szafranem, placuszki z makiem i miodem, okonie z posiekanymi jajami i oliwą itd. Obrus koniecznie zastany być musiał na sianie, w czterech kątach izby jałdalnej stały cztery snopy jakiegoś niemłocznego zboża. Niecierpliwie czekano pierwszej gwiazdy; gdy ta zajaśniała zbierali się goście i dzieci, rodzice wchodzili z opłatkiem na talerzu, a każdy z obecnych, biorąc opłatek, obchodził wszystkich zebranych, nawet służących i łamiąc go, powtarzał słowa: „Bodajbysmy na przyszły rok łamali go z sobą”.

Do bardzo starych, może nawet pogańskich tradycji, naszej uczy wigilijnej należy pozostawienie wolnego miejsca przy

binę ugotowanej kiszzonej kapusty. Grzyby i kapustę przepuszczamy przez maszynkę. Na oleju lub maśle smażymy jedną cebulę, dodajemy do niej zmielone składniki. Trochę razem przesmażamy, przyprawiamy do smaku solą i pieprzem.

Ciasto przygotowujemy jak na pierogi. Po rozwałkowaniu kroimy je w małe kwadraciki, napełniamy farszem i zlepimy jak pierogi, dwa długie końce łącząc ze sobą. Powstanie nam w ten sposób niby świńskie uszko. Im mniejsze uszka, tym elegantsze. Zaraz po sklejeniu wrzucamy na gorącą osoloną wodę. Do wazy wkładamy uszka i zalewamy barszczem. I tak oto mamy gotową pierwszą potrawę wigilijną.

Drugim daniem po zupie powinna być ryba. Najprościej będzie kupić filety. Obtoczyć je w mące, jaj, potem bułce tartej, posolić do smaku i usmażyć na gorącym tłuszczu.

Ale jeśli uda nam się kupić karpia możemy go przyrządzić **po polsku w szarym sosie**. Przepis ten jest bardzo stary — karp był tradycyjną potrawą wigilijną naszych przodków.

Potrzebny będzie do przyrządzenia tej potrawy karp żywy. Wagi około 1 kg. Do filizanki wyciskamy sok z 1/2 cytryny i do niej wpuszczamy krew z zabitego karpia. Rybę oczyszczamy, krajemy na dzwonka, solimy i pozostawiamy w chłodnym miejscu na około godzinę. Tymczasem przyrządzamy wywar z jednego średniego selera, dużej cebuli, kieliszka czerwonego wytrawnego wina, kawałeczka skórki cytrynowej, kilku ziarn pieprzu, 1/3 łyżeczki imbiru, i so-

zywanych w wilię należy też kapusta z grzybami i grochem lub fasolą. Kwaszoną kapustę (1 kg) przepłukujemy na sitku wodą. Zalewamy dwoma szklankami wody i gotujemy do miękkości. Oddzielnie gotujemy około 7 dkg suszonych grzybów. Również osobno gotujemy groch lub białą drobną fasolkę (10 dkg), (tu należy pamiętać, że groch i fasolkę trzeba dzień wcześniej zalać zimną wodą i pozostawić na noc, by zmiękły). Gdy grzyby miękkie, kroimy je w cienkie paski i wraz z wywarem dodajemy do kapusty, dorzucamy też groch lub fasolkę. Kapustę przyprawiamy dużą cebulą przysmażoną na oleju i zasmażką przyrządzoną z 2 łyżek masła i 1 łyżki maki. Pieprzymy i solimy do smaku. Niestety danie to, choć wspaniałe, nie należy do lekkostrawnych.

Po wspaniałej uczcie trzeba pomyśleć o deserze. Do tradycyjnych deserów należą jedzone w tym dniu **łamańce z makiem**.

Szklankę maku zalewamy 2 szklankami wrzącego mleka i przez 20 minut gotujemy na bardzo małym ogniu (najlepiej na płytce azbestowej). Mak dokładnie odcedzamy na sitku i trzy razy przepuszczamy przez maszynkę do mięsa. Do zmielonego maku dodajemy 2/3 szklanki podgrzanego płynnego miodu pszczelego, 1/2 laski utłuczonej wanilii, 10 dkg namoczonych rodzynków i 10 dkg obranych z łupki i posiekanych migdałów lub orzechów. Masę makową trzymamy w lodówce, a tuż przed podaniem przekładamy na ładny półmisek i utykamy, w nią dekoracyjne łamańce. Przepis na łamańce: z 13 dkg maki, 6 dkg masła i 3 dkg cukru pudru oraz 1 surowego żółtka dobrze

NA STÓŁ WIGILIJNY

stole dla osoby z rodziny w tym dniu nieobecnej lub zmarłej. Tak popularna dziś choinka, która dzieciom sprawia wielką radość, do naszej tradycji świątecznej zakradła się dopiero w XIX wieku.

Po uroczystej kolacji zwykle wszyscy wspólnie śpiewali kolędy i pastorałki. Dziś wyręcza nas w tym radio i telewizja nadając piękne wykonania staropolskich piosenek.

Najstarszą znaną polską potrawą był barszcz, podawany oczywiście i na ucztę wigilijną. Na barszcz przepisów jest wiele. A oto kilka, może któryś pomoże w urządzeniu wigilii.

Na czerwony barszcz musimy najpierw zakisnąć buraki. Czysto umyte i obrane buraki kroimy w cienkie plastry (ok. 1,5 kg) układamy w szklanym słoju i zalewamy leknią przegotowaną wodą, tak by pokryła buraki. Na wierzchu kładziemy kromkę razowego chleba. Słój obwiązujemy gazą i stawiamy w ciepłym miejscu. Po czterech, pięciu dniach usuwamy pianę, która się na wierzchu utworzyła, a klarowny sok zlewamy do butelek. Tak przyrządzony kwas buraczany możemy przechowywać nawet kilka miesięcy.

Na wigilijny barszcz przygotowujemy wywar z jarzyn (bez kapusty) z dodatkiem kilku ziarenek pieprzu, 2 ziaren angielskiego ziela i kawałeczka listka laurowego. Osobno gotujemy kilka grzybków. Przyrządzimy z nich uszka do barszczu. Łączymy ze sobą wywar z jarzyn, wywar z grzybów i sok buraczany zakiszony. Po dolaniu soku buraczanego nie powinniśmy już barszczu gotować. Przyprawiamy go jeszcze do smaku: solą, cukrem, pieprzem mielonym i cytryną, a także utartym zapiekiem czosnku.

Inną wersję barszczu bez buraczków też jada się w niektórych domach. Do wywaru z grzybów dodaje się garść kiszzonej kapusty i razem gotuje do miękkości.

Na tę świąteczną kolację możemy też podać zupę grzybową. Około 5 dkg suszonych grzybów gotujemy do miękkości. Grzyby wybieramy i dodajemy do zupy woszczynę. Gdy jarzyny miękkie, zupę cedzimy przez sito i przyprawiamy odrobiną soku cytrynowego. Dodajemy też cienko, na makaronik pokrojone grzyby i oddzielnie ugotowane łazanki.

Oczywiście barszcz czerwony można też ugotować na wywarze z jarzyn i rybiej głowie. Wszystkie składniki jak w pierwszym przepisie.

Do barszczu najlepsze są uszka, czyli małe pierożki nadziewane gotowanymi grzybami, kapustą, cebulą.

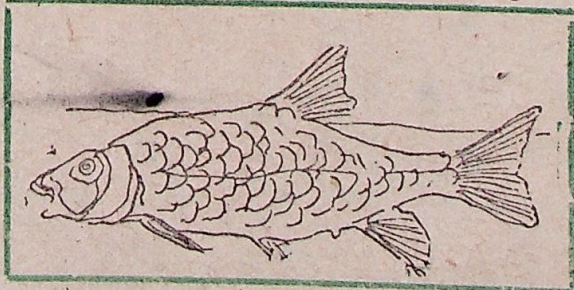
Farsz przygotowujemy z grzybów, które wygotowaliśmy na smak do barszczu. Dla zaostření smaku dobrze jest dodać odro-

ku z 1/2 cytryny. Jarzyny powinny być drobno pokrajane.

Do wywaru (powinno go być około 1/2 litra) wkładamy rybę. Gdy jest miękka, przekładamy ją na półmisek i wkładamy do ciepłego piekarnika. Tymczasem wywar przecieramy przez sito, dodajemy do niego krew z karpia, szklankę ciemnego piwa, łyżeczkę cukru, łyżkę powideł śliwkowych, 5 dkg obranych i posiekanych migdałów, 5 dkg rodzynek oraz czubatą łyżkę masła. Gotujemy na słabym ogniu 10—15 minut i gorącym polewamy rybę ułożoną na półmisku.

Doskonałym sposobem podawania ryb jest **ryba z wody**, najlepiej do tego nadaje się sandacz lub szczupak. Gotujemy wywar z jarzyn (bez kapusty) z większą ilością cebuli, kilkoma ziarnkami pieprzu i kawałeczkiem listka laurowego. Całego sandacza lub szczupaka z głową, (ale wypatroszonego i bez łusek) wkładamy do wianienki do gotowania ryb. Zalewamy zimnym wywarem, tak by ryba była cała nim zakryta, powoli doprowadzamy do zagotowania wywaru i gotujemy na bardzo wolnym ogniu 10—15 minut. Gdy się ryba gotuje w rondelku rozpuszczamy 5 dkg masła i gdy ono zaczyna się gotować dodajemy do niego 3—4 drobno posiekane jaja (ugotowane na twardo) oraz łyżkę drobno posiekanej naci pietruszki. Te go dodatku nie należy smażyć lecz podgrzać. Gorącą rybę układamy delikatnie na ogrzany półmisek, skrapiamy sokiem wyciśniętym z 1/2 cytryny i posypujemy mieszanką z masła, jaj i pietruszki.

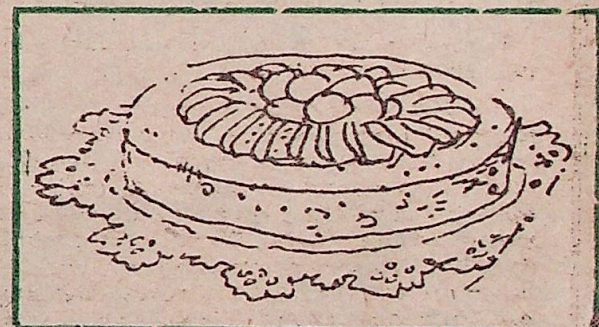
Poprzednie stały się ostatnio w Polsce **prągi hodowlane**. Najlepsze są chyba **smażone w maśle**. Prąga oczyszczamy z łusek, wypatroszamy (nie obcinając głowy). Posolimy i pozostawiamy tak na około 1/2 godz.



Potem na patelni rozpuszczamy masło i układamy prągi. Smażymy je pod przykryciem na bardzo wolnym ogniu około 20 minut, po 10 minutach obracając na drugą stronę. Podajemy z chrzanem, który jest świetnym dodatkiem do wszystkich ryb. Ryby należy gotować na bardzo słabym ogniu. Jeśli temperatura jest zbyt wysoka ryby rozpadają się na kawałki.

Do bardzo starych potraw polskich spo-

wyramy ciasto. Potem musi ono poleżeć około 1/2 godz. w chłodnym miejscu. Gdy odpowiednio rozwałkowujemy je cieniutko, wycinamy wąskie prostokąty (2 x 8 cm) i pieczemy w piekarniku na jasno złoty kolor, układając je na mocno natłuszczonej blasze. Po ostudzeniu dekorujemy łamańcami mak.



Bardzo oryginalnym deserem wigilijnym będzie też **tort marcepanowy**. A przyrządza się go tak: gotujemy 1/2 kg ziemniaków (bez soli). Gorące przepuszczamy przez maszynkę. W garnku dosypujemy do ziemniaków 1 kg cukru i dokładnie mieszamy. Utworzy się wówczas syrop ziemniaczany. Stawiamy go na płytce azbestowej i gotujemy około pół godziny, gdy zgęstnieje, odstawiamy. W donicy ucieramy 30 dkg świeżego masła i dodajemy do niego po łyżce wystudzonego syropu ziemniaczanego. Gdy wszystkie składniki są ze sobą połączone, masę dzielimy na trzy części. Do jednej dodajemy skórkę i sok z cytryny, do drugiej utartą tabliczkę czekolady, do trzeciej 10 dkg zmielonych orzechów lub migdałów. Dno tortownicy wyszcieramy andrutem, na to układamy po kolei masy, tak aby czekoladowa była w środku. Lekko przyciskamy i ustawiamy w chłodnym miejscu na jeden dzień. Tortik ten jest bardzo smaczny i nikt nie domyśla się w nim ziemniaków.

STÓŁ wigilijny koniecznie nakrywamy białym obrusem, ponieważ na nim najlepiej prezentują się potrawy wigilijne. Do podanych tu potraw powinno być podawane lekkie białe wytrawne wino (w żadnym wypadku wódka). Potrawy możemy udekorować zieloną pietruszką a stół gałązkami choinki.

Dzień ten powinien przebiegać w miłej, przyjaznej atmosferze, podobno — jacy będziemy w tym dniu, pozostaniemy przez rok cały. To święto pozostaje najdłużej w pamięci dzieci i wynoszą one zwyczaje z rodzinnego domu na całe życie.

Opracowała:
ELŻBIETA POMORSKA

Zimowe święta nie mogą obejść się bez choinki. Wigilijne drzewko jest rekwizytem bezwzględnie koniecznym w każdym domu. Stało się symbolem domu, spokoju, radości...

Różne są choinki. Przede wszystkim są te najprawdziwsze — prosto z lasu — ośnieżone wata, srebrzące się „anielskim włosiem”, urzekające ciepłym światłem świec. Do tego szklane bombki, wisiorki, cukierki w kolorowych papierkach, orzechy. Tu i ówdzie, w pracowitych rodzinach, oplata choinkę łańcuch z kolorowego papieru. Takie łańcuchy robią dzieci w przedszkolach i te placówki jako tako podtrzymują tradycję. Bo z tradycją — źle. Świeczki zastąpione zostały przez kolorowe lampki (ku radości straży pożarnej), a spontaniczność dekoracji drzewka — wyszukaną stylizacją. Może zresztą to dobrze, może z większym smakiem, kiedy zawisną na gałązkach cepeliowskie kukiełki i słomiane ludziki, a wspaniałą różnokolorowość bombek zastąpią sławnie dobrane — srebrne albo granatowe na przykład i soplaste tylko lub kuliste? I szczytu już wtedy nie zwieńczy gwiazda błyszcząca: nie pasuje...

CHOINKA

TRADYCJA podlega też prawom ewolucji. Ale tradycja powiada, że ma być choinka na święta. W najnowocześniejszych domach jest więc — sztuczna. Spryskana odpowiednimi perfumami, nie sypiąca się — do samej wiosny. Chciałoby się te plastyczne drzewka przyswoić, przekonać do nich, potraktować jako równoprawne ze świerkiem pachnącym i sypiącym się niemilosierdzie przy kaloryferach. Ale nie da rady, chociaż wszelkie praktyczne względy przemawiają za wieczną zieloną choinką sztuczną.

W każdym razie ja się przekonać nie potrafię. Choinka dla mnie ma być choinką: sypiąca się, trochę krzywa i niesymetryczna, gałązek ma tu i ówdzie brakować. Choć bardzo się wstydzę tego swojego uprzedzenia sztuczno-choinkowego, to w nim trwam...

Przyjdzie taki dzień, że o dawnej choince już tylko przeczytamy:

„To było poczerwne, praktyczne drzewko, jakie w Polsce stawiano (jeśli stawiano) przed trzystu laty, kiedy żadnych tam synów polskości i ludowości od święta wysentymentalnie nie trzeba było, bo skrzypiał nim każdy żuraw każdej studni. Drzewko więc było w dary konkretne zasobne i chodzić mogłeś koło niego, bracie, trzy dni i objadać się gruntownie. Poza świeczkami i lepionymi w domu łańcuchami z różnokolorowego papieru, wszystko tam można było w gębę włożyć. Od góry do dołu czerwieniały „pepinki” — małe kolorowe jabłuszka, zawieszane na różnobarwnych wsteczkach. Równie obficie wisiły figi, pierniki, złocone i srebrzone orzechy i duże cukierki „kri-kri”. W papierowych koszykach znajdował się człowiek, malaga (suszone winogrona), migdały, daktyle itd. Doskonaleści te zrywało się na miejscu i rozdzielało między parobczańską działawę”

Tak pisał niezapomniany Melchior Wańkowicz o choince w swoich rodzinnych Kalużach. Nie dożył wieszcz (bardzo się zżymał na takie miano) inwazji sztucznych drzewek, lecz nietrudno wyobrazić sobie jego o nich opinię, skoro w „Szczeniących latach” (z której to uroczej książeczki pochodzi powyższy cytat) pisał również: „Hej! Bo drzewko nasze nie było ani takie, ani siakie. Ani zbyt w błyskotki kupne, sztuczne śniegi, niemieckie diabełki, aniołki, szklane kulki i inne wykrętasy, ani Boże bron, stylizowane na ludowo i na „polsko...”. A pisał to Melchior Wańkowicz w roku 1934 opisując swoje dzieciństwo.

Jak natomiast wyglądały choinki w plebejskich domach — nie wiemy. Kalużycka posiadłość babki pana Melchiora była na wskroś przesiąknięta tradycją szlachecką. W każdym razie w czasach opisywanych na kartach „Szczeniących lat” — schyłek XIX wieku i początki XX — choinka pod chłopską strzechą znana nie była. Zwyczaj ten, tak dzisiaj powszechny, zaczął się szerzyć dopiero w początkach wieku XIX, lecz na początku jedynie w środowisku mieszczańskim niemieckiego pochodzenia, przeważnie wśród ewangelików. Znacznie później przeszedł do mieszczaństwa i inteligencji polskiej. Tak twierdzi zmarły przed czterdziestu laty znakomity zna-

wca obyczajów polskich Jan Stanisław Bystron.

Choinkowa tradycja jest więc stosunkowo młoda. W każdym razie ani jej się równać do zwyczaju kładzenia pod obrus wigilijny siana lub słomy i dopiero na tak przygotowanym stole stawiania potraw. Ba, dawniej bywały też w kątach izby snopy żytnie i rozścielano słomę na podłodze. Czynniono to — wedle powszechnego mniemania — na pamiątkę żłobu, w którym Dzieciątko Jezus w stajence leżało. Jednakże ów zwyczaj ma najprawdopodobniej daleko starszy rodowód, jeszcze pogański, wywodzący się z jakiegoś dawnego święta agrarnego, któremu nadano chrześcijański sens.

Ewolucja obyczajów: zniknęło siano spod obrusa, zniknęło wolne nakrycie dla niespodziewanego gościa. Nastąpiła choinka. Z zaprzeczonych dziejów ostał się tylko opłatek... (Z tym niespodziewanym gościem to też nie tak, bo naprawdę to chodziło o miejsce dla zmarłych i pamięć o nich).

Tak więc, zamiast — bo chyba można w ten sposób powiedzieć — siana pod obrusem, obligatoryjnym elementem świąt stała się choinka. Ona to zrobiła oszalałą karierę: najpierw królowała jedynie w bogatych mieszczańskich domach, następnie zdobyła serca rodzimej arystokracji, stamtąd trafiła

do szlacheckich dworów, aby w końcu dojść — ostatecznie gdzieś w latach dwudziestych bieżącego stulecia — pod najuboższe strzechy i poddasza czynszowych kamienic.

Ot — i wynikł problem! W tym mianowicie, że cudowna ta tradycja, ów piękny obyczaj jest dla lasów niczym pożar...

Nie, powiedzmy sobie szczerze — nie ta tradycja, lecz inna — nędzne pokłosie choinkowej Ta, która każe uważać choinkę kradzioną za prawdziwie piękną...

A więc przed rodzinnym świętem, tym najpiękniejszym, przed wigilią jakieś dziesięć, piętnaście dni Kazimierz Adamczak, leśniczy z Myśliborza, bierze... dubeltówkę i staje na straży swoich młodników. On albo któryś z jego pracowników.

We wszystkich leśnictwach wychodzą pracownicy, wędrują po co cenniejszych uprawach i celowo oszpecają drzewka. Bo takiego oszpeconego nikt nie ukradnie, będzie mogło sobie spokojnie rosnąć.

Zamiast oszpecać, niekiedy spryskuje się choinki szczególnie cuchnącym preparatem.

W Jaworze, tamtejszy zastępca nadleśniczego — Bolesław Kowczur — powiada, że już mają szczegółowy plan działania, który zapobiec ma wycinaniu drzewek: współpracować będą wszyscy pracownicy nadleśnictwa, Milicja Obywatelska, ORMO...

— Przyjdzie taki do lasu, wytnie choinkę, zobaczy inną — wyda mu się lepsza — wyrzuci tę, którą ma i wytnie następną. I tak dziesięć potrafi zmarnować — mówi leśniczy Adamczak.

— W nadleśnictwie Dzieżków — gdzie lasów małutko, a wieś za to co krok — zmarnowano w ubiegłym roku prawie cały młodziutki świerkowy drzewostan...

— W ubiegłym roku straż leśna zebrała 7 tysięcy złotych mandatów za kradzież choinek. Tylko w nadleśnictwie Jawor... A złodziei łapie też milicja.

Dość! Dość! Dość słuchania i pisanie o ponurych wyczynach rodaków!

— Dlaczego dość? To też przecież świąteczny temat, przedświąteczny obyczaj. Niech pan posłucha: idzie człowiek i obrzyna sobie czubki dorosłych świerków. Takich mniej więcej trzynasto-, czterdziestoletnich. Dla niego choineczka, dla drzewa — zagłada! Idzie drugi człowiek...

NIE SŁUCHAM. Wsiadamy z Kazimierzem Adamczakiem do „gazika” i jedziemy w las. Z dala od ludzi. Między choinkami. Wędrujemy sobie przez świerkowy gąszcz. Pachnie Kluje.

— Tak sobie myślę — mówię leśniczy, że nie chyba piękniejszego nad wieczór wigilijny przy choince. Takie swojskie drzewko. Polskie Rodzinne. A pan — jak uważa?

— Tak samo. Dokładnie tak samo...

DOMINIK KRZYCKI



Kazimierz Adamczak — Takie swojskie drzewko.

Fot. Waldemar Sikorski

MADRY DOPING I KOREKTA NA TRASIE

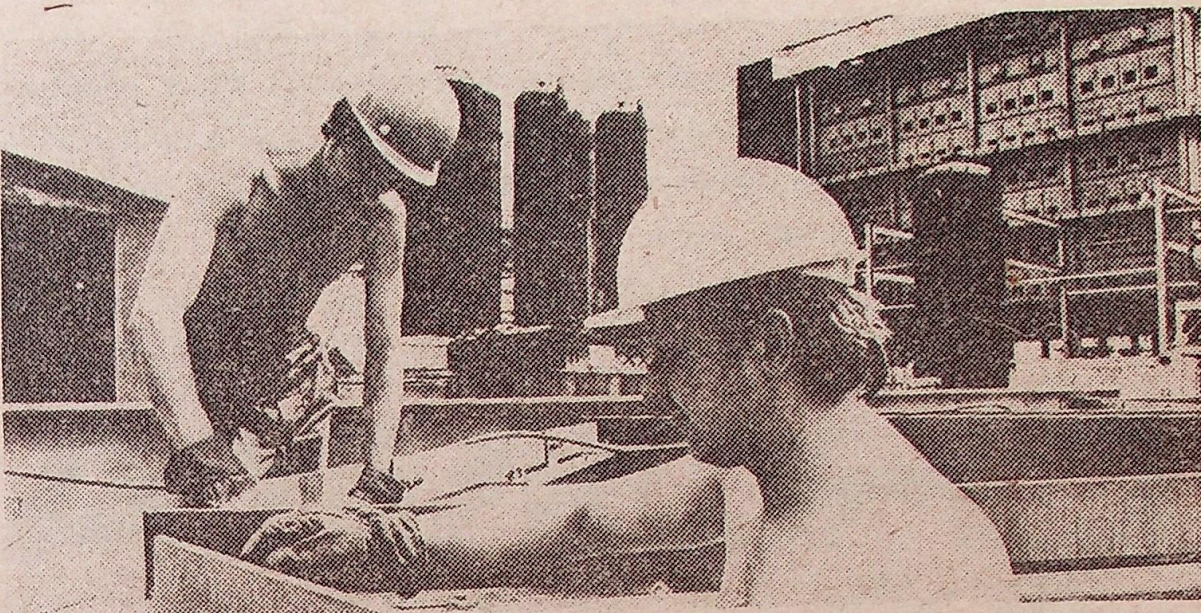
WSZYSCY ODPOWIADAMY ZA POLSKĘ — to znane hasło, będące nakazem dla każdego patrioty, warto uzupełnić innym, zawartym w Wytycznych na VIII Zjazd PZPR: **IM WYŻSZA FUNKCJA, TYM WIĘKSZA ODPOWIEDZIALNOŚĆ**. Przypomniano je w 83 punkcie Wytycznych, poświęconym polityce kadrowej.

POD pojęciem kadra rozumiemy ogół funkcjonariuszy wyposażonych w odpowiedni zakres władzy do sprawowania czynności kierowniczych. Już brygadzysta w fabryce czy w PGR ma uprawnienia do wydawania podwładnym poleceń służbowych, do proponowania dla jednych pochwał i premii, dla innych nagan. Już na tym szczeblu człowiek wyróżniać się powinien cechami, które dają gwarancję, że dobrze będzie spełniał wraz ze swym zespołem zleczone powinności.

Jakież to cechy charakteryzować powinny ludzi pełniących funkcje kierownicze? Wytyczne w dużej mierze powracają do sformułowań zawartych w dokumentach dwu poprzednich zjazdów partii, co świadczy zapewne o tym, że w praktyce życia zasady te trzeba wciąż przypominać. Przede wszystkim chodzi więc o dobrą znajomość fachu i zdolności organizatorskie. Bez tych cech żaden kierownik czy dyrektor nie może racjonalnie pracować. Ignorant, bałaganiarz, asekurant bojący się podjąć decyzję z góry naraża się na kompromitację w oczach podwładnych, a jego poczynania przynoszą niejednokrotnie szkody społeczne i gospodarcze.

Niekompetencji, braku energii, zmysłu organizatorskiego nie zastąpią piękne słowa wygłaszane na zebraniach czy odprawach służbowych, przeciwnie — stanowią tylko formę taniej kokieterii, którą rozszyfruje każdy zdrowo myślący człowiek. Jeżeli partia w tak ważnym dokumencie, jak Wytyczne na Zjazd w ten sposób ustala kolejność wymagań wobec kadry kierowniczej, wynika to z faktu, że mamy już dziś w Polsce wielu zdolnych, wykształconych i wychowanych przez nasze szkoły i uczelnie ludzi, nie ma więc żadnej obiektywnej konieczności obsadzania kierowniczych stanowisk przez ludzi mało może kompetentnych, ale pewnych. Taka konieczność, owszem, istniała w pierwszych latach władzy, kiedy brakowało własnych, ludowych kadr, kiedy zdarzały się przypadki, że fachowość łączyła się z postawą konserwatywną, a niekiedy i wroga wobec nowej władzy. Wtedy to wysunięto słynne hasło: **NIE MATURA, LECZ CHĘĆ SZCZERA ZROBI Z CIEBIE OFICERA**. Obowiązywało ono nie tylko w wojsku. Ale też dość szybko zostało odesłane do lamusa, gdy tylko weszły do produkcji, do armii, do administracji zastępy nowych inteligentów.

Wysuwa się następnie w Wytycznych dalsze kryteria polityki kadrowej, a mianowicie: wysoką ideowość, zaangażowanie,



właściwą postawę etyczną, głębokie poczucie odpowiedzialności za społeczne i polityczne skutki swego działania. Przypomnienie tych walorów z poprzednich dokumentów partyjnych, zwłaszcza z uchwały VI Zjazdu, nie jest też sprawą przypadku. Mielśmy przecież w tej dekadzie, w realizacji pogrudniowej polityki partii, nie tylko przejawy wzorowych postaw kadr kierowniczych. Zdarzały się fakty omawiane na forum publicznym, w tym także na plenarnych posiedzeniach KC, postaw niewłaściwych, nie liczących z ideowo-moralnymi zasadami naszego systemu społecznego, a tym bardziej statutu PZPR.

Warto przypomnieć niektóre z tych faktów. Np. nierzadkie przypadki fikcyjnego wykonywania planu (zdarzało się to zwłaszcza w budownictwie) po to, aby uzyskać premie i nagrody. Niezasadne podnoszenie cen na niektóre wyroby, choć nie było to usprawiedliwione ani ich wyższą jakością, ani podrożeniem surowców. Nie mało było przypadków wprowadzania w błąd wyższych szczebli zarządzania przez fałszowanie danych statystycznych. W pewnym okresie wystąpiły też wyraźne tendencje do lekceważenia kontroli społecznej przez niektórych działaczy gospodarczych, w tym także lekceważenia kontrolnej roli prasy — brak reakcji na krytykę prasową lub dawanie odpowiedzi wprowadzających w błąd opinię publiczną.

Nie bez kozery Biuro Polityczne uznało za konieczne podjęcie specjalnej uchwały

w tej sprawie w lutym 1977 r., aby zapewnić respektowanie głosu opinii publicznej.

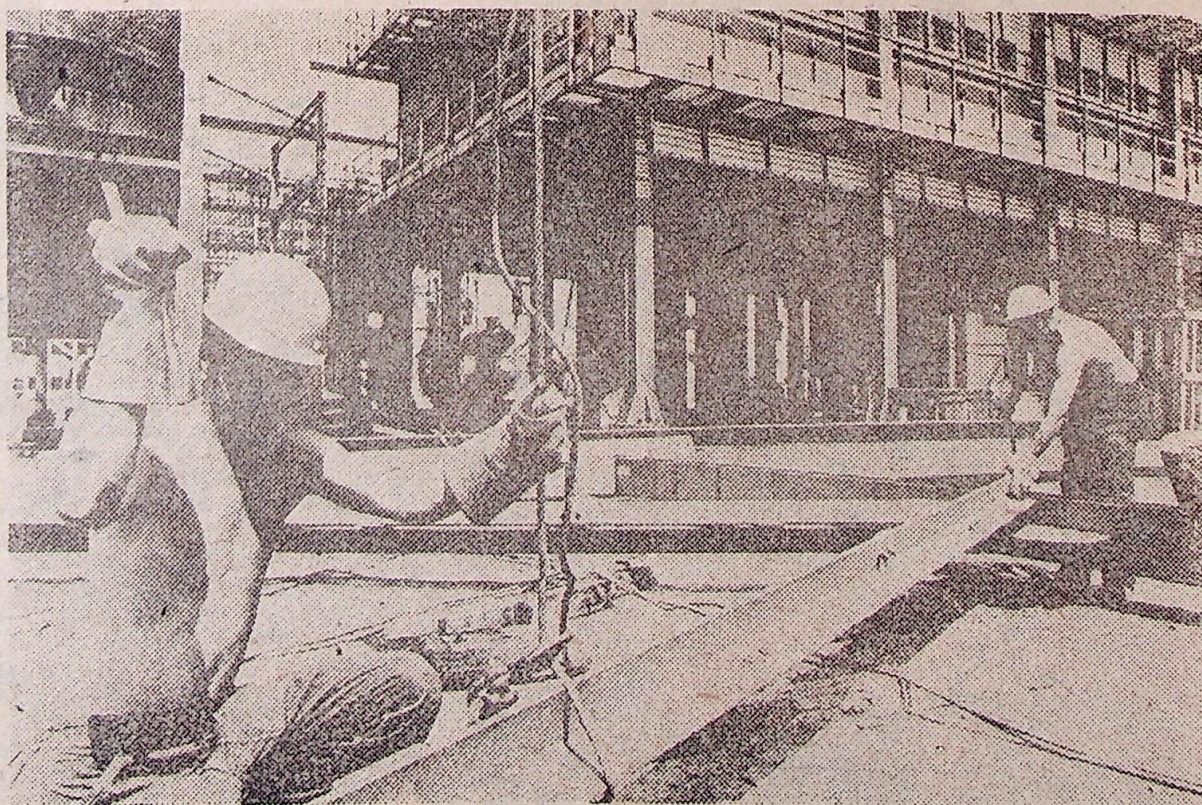
Te i podobne grzechy nie obciążały, rzecz jasna, w równym stopniu kadr wszystkich szczebli. Za fikcyjne raporty o wykonaniu planów czy za niefrasobliwe szastanie funduszem plac odpowiadali nie brygadziści lub mistrzowie, ale menadżerowie z wyższych pięt zarządzenia. Niemniej postulat rzetelności w realizacji zadań, szczerości wobec partii, władz nadzędnych, opinii publicznej, uczciwego rozliczania się z obowiązków — wszystko to odnosi się zarówno do brygadzysty, jak dyrektora, wojewody i ministra. Postulat ten będzie nabierał jeszcze większej mocy wobec licznych trudności obiektywnych, które czekają naszą gospodarkę w latach następnych.

„Nie do pogodzenia z przynależnością do partii, z pełnieniem funkcji kierowniczych w aparacie państwowym, gospodarczym lub społecznym jest formalne traktowanie zadań, uchylanie się od odpowiedzialności za sprawy trudne i złożone — czytamy w Wytycznych. Ludzi, których praca nie daje niezbędnych rezultatów, należy konsekwentnie wycofywać ze stanowisk kierowniczych”.

Bardzo stanowcze to zalecenie i — znówu — na pewno nie „wymyślone na wszelki przypadek”, ale będące wyrazem potępienia liberalizmu wobec nieudolności, braku kompetencji i bezideowości.

Uwypuklenie pewnych zjawisk negatywnych w postawie części kadr kierowniczych, pryncypialność, z jaką Komitet Centralny stawia te kwestie, nie tylko nie wyklucza, ale wręcz zakłada obdarzanie ogółu tych ludzi zaufaniem i szacunkiem. Wiąże się z tym konieczność obdarzania ich przez instancje partyjne samodzielnością, od czego zależy przecież ich inicjatywa i skuteczność działania. Z Wytycznych wynika, że Komitet Centralny przeciwny jest drobiazgowym ingerencjom w działalność ludzi, powierzonych na kierownicze funkcje. Takie ingerencje rodzą bowiem postawy asekuranckie, czekanie na decyzje z góry, a także ukrywanie trudności, niepowodzeń itp.

POZYTECZNĄ metodą inspirowania kadr są wszechstronne oceny działania poszczególnych ludzi, przede wszystkim na forum publicznym, które stanowią m. in. sesje KSR, rady narodowe, a zwłaszcza zebrania partyjne. Wypróbowaną formą są także rozmowy indywidualne, od paru lat stosowane w naszej praktyce kierownictwa politycznego i służbowego. Prawidłowe kryteria doboru kadr — to dopiero warunek dobrego ich startu. Niezbędny jest także mądry doping i korekta na trasie.



Zdjęcia: Jerzy Źndro

JAN SAPLEWICZ

Jedyny to — poza żywnościowym — przemysł, z którego wyrobami kontakt ma każdy z 35 milionów Polaków i każdy ma prawo być jego surowym cenzorem. Jedyny, który nie dość, że wyprodukuje wyroby w dostatecznej ilości i jakości, to jeszcze musi utrafić w jakże zmienny gust klienta. Drugi — pod względem ilości zatrudnionych (po przemyśle elektromaszynowym). Najważniejszy — wraz z producentami żywności — dostarczyciel artykułów pierwszej potrzeby, a stąd i jego kluczowa pozycja w prawidłowym funkcjonowaniu rynku. I wreszcie — jedyny przemysł całkowicie oddany w ręce pań (na ponad 820 tysięcy zatrudnionych około 90 procent stanowią kobiety). Ten przemysł zwykliśmy określać mianem „lekki”...

W 1970 roku należał do najbardziej przestarzałych. Wiele zakładów posiadało urządzenia i budynki jeszcze z XIX wieku! Z jednej strony tworzyło to bariery wzrostu produkcji, z drugiej — niezwykle ciężkie warunki pracy, przede wszystkim kobiet. Dlatego też lekkiej branży — tak ważnej dla zaopatrzenia rynku — przez całe minione dziesięć lat świeciło wyraźnie zielone światło. Wystarczy powiedzieć, iż w 1970 r. przemysł lekki dysponował potencjałem produkcyjnym wartości 63 mld zł i tylko w pięcioletnim 1971—75 zainwestowaliśmy w niego 64 mld, natomiast w całym dziesięcioleciu zainwestujemy 110 mld! (podaję w cenach porównywalnych z 1971 r.) W tym okresie zbudowano w kraju 56 nowoczesnych zakładów odzieżowych, dziewiarskich, obuwniczych, przędzalni, fabryk dywanów. Jednocześnie większość pozostałych zakładów poddano gruntownej modernizacji. Efekt tych zabiegów nie dał na siebie długo czekać.

prowadza modernizację parku maszynowego, natomiast w 1974 r. powstaje oddział w Lubinie. W 1970 roku do użytku zostaje oddana nowa szwalnia w prochowieckim „Reniferze”, a w następnych latach następuje dalsza rozbudowa i modernizacja. Dokładnie to samo dzieje się w Chojnowie, w tamtejszym zakładzie „Renifera” — w 1973 r. powstaje nowy obiekt dla wydziału konfekcji, w 1974 zainstalowane zostają nowe maszyny do produkcji rękawiczek, a rok później — do produkcji odzieży.

Wszędzie sprowadzano wyposażenie od znakomitych firm. Nie szczędzono dewiz na unowocześnianie technologii, na podwyższanie jakości. Nie zawiedli też ludzie, którym ten znakomity sprzęt powierzono. Kobiety — bo o nie przecież głównie chodzi — pokazały na co je stać: i to zarówno długoletnie pracownice, jak i wykształcone w przyzakładowych szkołach zawodowych młode dziewczęta. Bo warto powiedzieć, iż wraz z rozwojem całego przemysłu

a na kaftanikach niemowlęcych kończąc — o wartości 1.605 milionów złotych i też blisko 20 procent powędruje za granicę — w cztery strony świata. Ponad trzytysięczna załoga (cztery zakłady w Legnicy oraz w Siekierczynie, Radkowie i Głogowie) ma do zanotowania również niemałe jakościowe osiągnięcia: trzy wyroby „Milany” uzyskały znak jakości „Q” zaś 42 oznaczone są „jedyneką”. Najdłuższą listę odbiorców mają niewątpliwie ZPO „Elpo”, które, poza wszystkimi krajowymi firmami handlowymi, mają kontrahentów w: ZSRR, NRD, CSRS, WRL, Bułgarii, USA, Francji, Libii, Kuwejcie, Norwegii, Szwecji, Danii, RFN, Szwajcarii... W tym roku „Elpo” wyprodukuje ponad 3.300 tysięcy sztuk ubiorów wartych w cenach zbytu 1.380 milionów zł. W produkcji sportowych spodni, wdzianek, koszul, kompletów turystycznych „Elpo” nie ma w kraju konkurenta.

Prawie 2 miliardy złotych warte są wyroby zakładów ZZBR „Renifer” w Choj-

TRAFIĆ W GUST

Przed wszystkim ponad 400 tysiącom zatrudnionych wydatnie polepszyły się warunki pracy — i to głównie tam, gdzie dotychczas były najgorsze. Odnowienie parku maszynowego pozwoliło na podjęcie produkcji nie znanych dotychczas wyrobów, szlachetniejsze wykończenie tkanin i konfekcji, wprowadzanie nowoczesnych technologii. Najbardziej jednak wymiernym wskaźnikiem postępu jest ilościowy przyrost produkcji — ponad 90 procent w tym dziesięcioleciu! Jeszcze w 1970 roku, dla przykładu produkowaliśmy 74,6 mln sztuk okryć i ubiorów oraz 139 mln sztuk bielizny, aby w 1977 produkować już 154 (dwukrotnie więcej!) sztuk okryć i ubiorów oraz 219 mln szt. bielizny. Produkcja obuwniczych wzrosła w omawianym okresie ze 142 mln par do 163 mln. Tkanin robimy o ponad 200 milionów metrów bieżących więcej. Globalnie zaś rynkowe dostawy przemysłu lekkiego w roku 1975 wzrosły, w porównaniu z rokiem 1970 o 72 mld złotych, a do 1980 r. wzrosną o dalsze 94 miliardy (w cenach porównywalnych).

Dobrodziejstwa inwestycyjno-modernizacyjne nie ominęły też przemysłu lekkiego naszego województwa. Branża ta ma zresztą w Legnickim wyjątkowo mocną pozycję — wartość produkcji sprzedanej przemysłu lekkiego w 1979 r. wyniesie 6,2 mld złotych, stanowiąc tym samym 13 proc. wartości produkcji całego województwa i dając temu przemysłowi — pod względem udziału w wartości produkcji globalnej — drugie miejsce. Po miedzi rzecz jasna. Również drugie miejsce ma przemysł lekki pod względem ilości zatrudnionych — około 13 tysięcy osób. Jest natomiast największym pracodawcą dla kobiet (przed handlem, oświatą, rolnictwem, uspołecznieniem i służbą zdrowia). Jeżeli zaś chodzi o dynamikę przyrostu produkcji — jest ona imponująca i tylko przemysł miedziowy ma wyższą. Sześć naszych zakładów lekkiej branży w mijającym dziesięcioleciu potrafiło bowiem zwiększyć produkcję globalną prawie 2,5-krotnie.

Lata siedemdziesiąte, a ściślej mówiąc odpowiednia część owych z górą 110 miliardów złotych przeznaczonych przez państwo na rozwój przemysłu lekkiego, uczyniły z naszych zakładów głośnie firmy. To właśnie w tej i ubiegłej pięcioletce do „Hanki” sprowadzono dziesiątki nowoczesnych maszyn szwalniczych, automatów specjalistycznych, urządzeń pomocniczych. W tym samym czasie do Złotoryi trafiły maszyny umożliwiające wprowadzenie najwydatniejszych technologii produkcji obuwniczej, m. in. znakomite wtryskarki. „Milana” otrzymała najbardziej w świecie znane maszyny dziewiarskie: sarneczki motorowe firmy Singer (132 szt. w roku 1972—73) i firmy Stole, Jasty, Omatek — 103 sztuki do nowego zakładu w Głogowie. „Elpo” w 1970 r. uruchamia mechaniczną prasownicę, dwa lata później prze-

szu postępował rozwój szkolnictwa zapewniającego przyszłe kadry — rzecz bardzo istotna w tej dynamicznie rozwijającej się branży. I tak w szkołach zawodowych i technikach uczących odzieżowych specjalności zdobywało wiedzę (dane z roku szkolnego 1978/79) 1.038 młodzieży.

Efekt tych wielostronnych, kosztownych i pracochłonnych zabiegów można opisać krótko: każdy z sześciu naszych zakładów przemysłu lekkiego całą swoją produkcję sprzedaje „na pniu” i każdy też eksportuje sporą część swoich wyrobów. I jeżeli osiągnięcie pierwszego nie jest w obecnej sytuacji rynkowej szczególnym sukcesem, to sukcesem niewątpliwym jest mocne uścisnienie się na rynkach zagranicznych. Sukcesem, a jednocześnie koniecznością — trzeba wszak spłacić zaciągnięte długi...

Przypatrzmy się, jak wywiązują się ze swoich zadań. ZPDz „Hanka” — potentat największy: 55 milionów sztuk bielizny w tym roku o wartości ponad 2.300 milionów zł! Ponad 4,5 tysiąca pracowników odziewa wszystkich — od niemowlaka do starca, panów i panie. Wyroby „Hanki” znaleźć można w sklepach Francji, Danii, RFN, Szwecji, dokąd wędruje około 20 procent produkcji. ZPDz „Milana” w tym roku wyprodukuje 9,6 miliona sztuk wyrobów — od męskich swetrów poczynając

nowie i Prochowicach. Oba zakłady garbują rocznie ponad 420 tys. metrów kwadratowych skór (42 hektary!), szyją około miliona par rękawiczek i około 200 tys. sztuk odzieży, która nie zwykła dłużej, niż kilka godzin, wisieć na sklepowych wieszakach. Za te skórzane caczuszka kraj otrzymuje brzęcząca monetą, głównie z krajów skandynawskich, Anglii, RFN, Szwajcarii i Francji. Złotoryjski Zakład Obuwia podległy DZPS „Odra”, jako jedyny w Polsce specjalizuje się w produkcji obuwniczej tekstylnej — w tym roku prawie 1000 osób w nim zatrudnionych robi ponad 2 miliony par tych poszukiwanych lekkich i zdrowych butów. Wartość złotoryjskiej oferty — ponad 400 milionów. Głównym zagranicznym odbiorcą wyrobów jest Związek Radziecki, a w ogóle eksportuje się ponad 15 procent produkcji.

Cóż dodać do tych telegraficznych wizytówek? Chyba tylko życzenie, abyśmy nie mieli nigdy kłopotów z nabyciem produkowanych u nas znakomitości, aby naszych zakładów nie opuścił nigdy wyrób określany przez handlowców mianem „nietrafiony”, czyli bubał. Bowiem od czasu do czasu jeszcze opuszcza. A właśnie problem poprawy jakości i wzbogacania asortymentu należy w tej chwili do najważniejszych, z jakim uporać się musi krajowy przemysł, nie tylko lekki. Można śmiało stwierdzić, że gdyby nie ciągle jeszcze szwankujące rozeznanie potrzeb rynku i gustów klientów, a często wręcz lekceważenie odbiorcy w imię choćby wykonania za wszelką cenę planu wartościowego produkcji! — okazałoby się, iż nie jest tak źle z zaopatrzeniem. Okazałoby się, iż po „niemowlaku” i buty nie trzeba wędrować za granicę, że nie trzeba za modny ciuch przepłacać w „butik” i także to, że można w normalnym sklepie kupić dopasowany garnitur. Mogłoby się tak okazać, bo przecież już teraz gdybyśmy podzieliли globalną produkcję poszczególnych wyrobów przez ilość obywateli, to wyszłoby — jak z butami, których statystycznie produkujemy ponad 4 pary na każdego Polaka.

Dlatego też w nadchodzącym pięcioletnim naczelnym zadaniem przemysłu lekkiego będzie właśnie działalność prowadząca do poprawy jakości wyrobów i stworzenia systemu umożliwiającego bardziej elastyczne dostosowywanie ich asortymentu do popytu. Wyrażenie mówią o tym Wytyczne Komitetu Centralnego na VIII Zjazd partii. Produkcja przemysłu lekkiego powinna wzrosnąć w tym czasie o około 18—23 procent i przemysł ten powinien nastawić się na lepsze zaspokajanie potrzeb rodziny. Chodzi tu głównie o zwiększenie produkcji dla niemowląt, dzieci i młodzieży.

Legnicka branża lekka ma więc pole do popisu...



Fot. Krzysztof Raczkowiak

KRZYSZTOF DĘBEK

Z IWONĄ KRÓL — lekarzem stomatologiem w przychodni przyzakładowej Kombinatu Górniczo-Hutniczego Miedzi w Polkowicach rozmawia Iwona Opoczyńska.

— Co spowodowało, że pani, choć tak młoda, ma już spory autorytet wśród pacjentów?

— Zabiegi u dentysty często bywają bolesne. Pacjenci są przestraszeni. Staram się więc nawiązać kontakt z każdym, kto przyjdzie do mojego gabinetu, spowodować by się rozluźnił i przestał się bać. Lekarz powinien być stale uśmiechnięty, podobnie jak ekspedientki w sklepie, ale nasze związki z ludźmi są głębsze, bardziej osobiste. Tym bardziej więc trzeba być miłym, bezpośrednim. Niedawno uczestniczyłam w kursie, gdzie mówiono wiele o indywidualnym podejściu do pacjenta. Lekarz tak powinien

— W Polkowicach ludzie chętnie leczą zęby. Bardzo rzadko trzeba kogoś wzywać na badania okresowe. Stale jest komplet pacjentów i często nie zdążę przyjąć wszystkich. A może się przecież zjawić ktoś, kto ma silne bóle i trzeba go przyjąć poza kolejnością. Lubieńskie ma zupełnie inny charakter niż Krakowskie. W Krakowie lekarz ma autorytet niejako w wyniku tradycji. W Lubinie zdarzało się na początku, że byłam zaszokowana lekceważącym stosunkiem pacjentów do lekarza, ale miało to miejsce nie w tej przychodni. Dużo zresztą zależy od lekarza. W Polkowicach tylko raz na badaniach okresowych zjawili się kilka osób po paru piwach. To był sporadyczny wypadek. Moi pacjenci są bardzo mili, ale ktoś może być zdenerwowany długim czekaniem na korytarzu. Lekarz też miewa swoje prywatne problemy. Trzeba je jednak pozostawić za drzwiami gabinetu. Mam już swoich stałych pacjentów, choć w Polkowicach pracuję dopiero od roku.

szy i wciąga, gdy można komuś szybko pomóc.

— Czy sądzi pani, że nasze społeczeństwo ma dostateczną wiedzę o higienie jamy ustnej? Czy ludzie u nas prawidłowo myją zęby?

— Pacjenci zwykle myją zęby przed wizytą u lekarza. Kultura osobista nie zależy oczywiście od stanowiska czy zawodu, lecz człowieka. Gdy czuję zapach pasty z ust, przyjemnie się pracuje. Uważam jednak, że mało ludzi prawidłowo myje zęby. Zasady higieny jamy ustnej są u nas za mało znane. Na korytarzach przychodni wiszą gazetki, często sama udzielam porad. Należałoby — sądzę — uczyć tego dzieci w szkołach. W Japonii na wielkich stadionach odbywają się pokazy mycia zębów. Współczesnych ludzi trapi próchnica bo jedzą co

CZY DENTYSTĘ MOŻNA POLUBIĆ ?

traktować chorego, jak chciałby sam być traktowany, gdyby stał się pacjentem. Sądzę, że właśnie dlatego, że często uśmiecham się do ludzi, jestem lubiana.

— W tej chwili stomatolodzy posługują się bardzo skomplikowaną aparaturą i zabiegi są mniej bolesne. Czy pacjenci też się mniej boją?

— Nie, wydaje mi się, że boją się coraz bardziej. Lekarze mają teraz mniej czasu na bezpośrednie obcowanie z chorymi. Kiedyś byli bliżej pacjenta, mogli go uspokoić. Ludzie niemal tradycyjnie boją się dentysty. Napięcie nerwowe pacjenta może wywołać ból nawet podczas... bezbolesnego zabiegu. Należy więc objaśnić, na czym polega leczenie chorego zęba — taka świadomość pomaga pacjentowi. Tym bardziej że zdarza się, iż chory chce, by mu usunąć ząb, który można jeszcze wyleczyć...

— Dlaczego, przecież lepiej mieć jak najwięcej zębów?

— Ja też tak uważam, ale niektórzy są krótkowzroczni — uważają że wyrwanie pod znieczuleniem jest mniej bolesne niż borowanie. Wolą więc, aby im usunięto ząb, który boli.

— Skąd się wzięło pani zamiłowanie do tego właśnie zawodu?

— Już w szkole średniej postanowiłam, że zostanę lekarzem. Zdawałam na wydział ogólnolekarski, lecz dostałam się na stomatologię. Ukończyłam ją w 1975 roku i od tego czasu pracuję na Dolnym Śląsku. Już w trakcie studiów, zaczęło mi się bardzo podobać to, czego się uczyłam. Mówi się wprawdzie, że lekarze ogólni mają większy prestiż, ale ja nie cierpię na przerosł ambicję. Staram się dobrze wykonywać swoją pracę i w żadnym wypadku już bym nie zmieniła specjalizacji. To, co robię, sprawia mi radość.

— Czy dentysta musi mieć szczególną sprawność manualną?

— Takiej zręczności można się nauczyć. Już na studiach lepi się zęby w glinie, a w ciągu ostatnich dwóch lat się leczy. Gdy rozpoczyna się pracę, trzeba sobie po prostu wypracować odpowiednie metody, bo niemal na wszystko jest sposób. Dużą rolę odgrywa oczywiście praktyka, doświadczenie. Gdy przyjechałam do Lubina, czułam się trochę czocho. Skończyłam Akademię Medyczną w Krakowie i na Dolnym Śląsku prawie nikogo nie znałam. Nie bardzo miał mi kto poradzić czy pomóc. Dopiero stopniowo nawiązałam znajomości, przyjaźnie.

— Pamięta pani może pierwszy ząb, który pani wyrwała?

— Nie, pierwszego już nie pamiętam, ale utkwił mi w pamięci jeden z pierwszych usuniętych przeze mnie zębów, jeszcze na studiach, na egzaminie praktycznym, dolna siódemka. W moim zawodzie przykre jest, że aby pomóc ludziom, trzeba im często dawać ból. Pacjenci czasem się ze mnie śmieją, że mnie bardziej boli niż ich.

— Leczy pani pracowników kilku zakładów górniczych. Jacy z nich pacjenci?

Niektórzy opowiadają mi o swoich dzieciach, kłopotach.

— Co ułatwia pani, a co utrudnia pracę w przychodni?

— Ogromnym dobrem jest sama przychodnia — nowoczesna, ładna, zadbane. Mam tu dobre warunki pracy. W tej chwili otwarto w Lubinie pracownię protetyczną. Do tej pory trzeba było jeździć do Legnicy i długo czekać na wprawienie nowego zęba. Pomaga mi w pracy świetna asystentka. Utrudniają natomiast pracę kłopoty z zaopatrzeniem. Muszę na przykład wypożyczać kleszcze z innych gabinetów. Brakuje zupełnie takich drobnych przyrządów jak instrumenty do kanałów korzeniowych. Powinny być do jednorazowego użytku. Tymczasem musimy je sterylizować, często pękają. Od roku nie dostajemy nowych. Poza tym pracę ułatwia mi moja gadatliwość. Bez wysiłku nawiązuję kontakt z ludźmi.

— Pani nie styka się bezpośrednio z bardzo ciężkimi przypadkami, to mniej wyczerpuje psychicznie...

— Tak, w przychodni udzielamy pierwszej pomocy, bardziej skomplikowanymi przypadkami zajmuje się chirurg stomatolog, albo szeregowy. Nie oznacza to jednak, że nie ma kłopotliwych przypadków. Np. po znieczuleniu może wystąpić wstrząs. Nasza praca wiąże się z ryzykiem. W moim zawodzie ważne jest to, że widzi się od razu efekty. W erodencji na przykład, poprawa następuje powoli. Mnie widocznie są potrzebne silniejsze bodźce, bardzo mnie cie-

raz więcej pokarmów rozdrobnionych, papkowatych. Pracownik miał wspaniałe zęby.

— Ile czasu zajmuje pani podnoszenie kwalifikacji?

— Wiedza fachowa to rzecz najważniejsza, choć czasem pacjenci bardziej cenią u lekarza uśmiech, niż umiejętności. Co miesiąc biorę udział w spotkaniach Polskiego Towarzystwa Stomatologicznego we Wrocławiu, gdzie dzielimy się doświadczeniami. Podobne spotkania organizujemy w naszym środowisku w Lubinie. Uważam je za bardzo wartościowe. Czytam fachową prasę, często zaglądam do różnych książek. Coraz więcej jest środków, które zapobiegają wyrwaniu zębów. Zdarza się, że dentysta — tak jak moja koleżanka — może pierwszy wykryć nowotwór. Jeśli chce się dobrze leczyć, trzeba stale doskonalić metody.

— Kiedy w takim razie zajmuje się pani domem i dziećmi?

— Na wszystko musi być czas, a więc narzucam sobie coraz większe tempo. W Lubinie mam duże mieszkanie i uważam, że w tym mieście są warunki dla młodych małżeństw. Sądzę, że nie sposób nie angażować się w pracę taką jak moja. Zdarza mi się, że jeszcze w domu opowiadam o chorych zębach. Czasem mi się śni.

— Dziękuję za rozmowę.



Fot. Krzysztof Raczkowiak

NIE WSZYSTKO JEST DLA WSZYSTKICH

Z WOJCIECHEM SIEMIONEM
rozmawia ELŻBIETA POMORSKA

"KONKRETY": — Jest pan organizatorem i dyrektorem uroczego teatru na warszawskiej Starówce — „Starej Prochowni”. Jaka jest jego historia?

WOJCIECH SIEMION: — Budynek ma naprawdę długą historię. Pierwotnie była to baszta strzegąca pierwszego mostu na Wiśle, zbudowanego z rozkazu króla Zygmunta Augusta. Wydarzenie, jakim było użarzenie Wisły, uczcił Jan Kochanowski fraszką „Na most warszewski”. Potem, gdy most zniósł powódź, baszta została, a ze obok były młyny prochowe, służyła do przechowywania prochu. Gdy zbudowano nowy arsenał, przylgnęła do niej nazwa Stara Prochownia. Z tamtych czasów pozostał na murze napis: „Miejsce dla złych, na poprawę od sądów przeznaczone” a więc basztę zamieniono na więzienie. Taka byłaby po krótko jej historia.

Jeśli chodzi o miejsce „Prochowni” w geografii kulturalnej, to odkrył ją dla potrzeb teatru Jerzy Grotowski. Szukał w Warszawie miejsca, gdzie by mógł pokazać „Apokalipsis cum figuris” i stwierdził, że ten budynek będzie się dla jego celów najlepiej nadawał. Tymczasem wniosłem do władz warszawskich petycję o utworzenie teatru, który działałby poza ścisłymi organizmami teatralnymi.

Po Grotowskim w „Prochowni” występował teatr Erei, miał olbrzymie powodzenie. Dzięki temu jakaś część warszawiaków, która przychodziła tu na występy, poznała drogę do tego budynku. Więc gdy objąłem po występach Ryszarda Filipskiego Starą Prochownię, miałem już bardzo ułatwione zadanie. Moja działalność w Prochowni zaczęła się w 1971 roku i trwa do dziś.

— Jakże były głośniejsze przedstawienia w Prochowni i jakie premiery są przygotowywane?

— Do najgłośniejszych przedstawień należały „Gwiazdy” Helmuta Kajzara. Wystąpiło w nich 11 gwiazd warszawskich teatrów. Ten spektakl to był niewątpliwie sukces teatru, autora i oczywiście zupełnie przeducudnych pań. Równie duże powodzenie zyskał sobie spektakl szekspirowskiego „Wieczoru trzech królów” w reżyserii Jana Kulczyńskiego, który dajemy w dalszym ciągu. Tu wszystkie role damskie i męskie gra 11 dam. Mamy tu kreacje nie spotykane dotąd w historii teatru np. Malvolio wykonywany przez Ryszardę Hanin, czy Chudogęba — Ireny Kwiatkowskiej, wreszcie najmędrzy z błaznów, jakich znałem, w wykonaniu Zofii Rysiówny. Byliśmy z tym przedstawieniem na jednym z festiwali w RFN, a teraz zaproszono nas do Strasburga (Francja).

Od pięciu lat przy kompletach widzów idzie monodram napisany przez Antoniego Słonimskiego „Jak to było naprawdę” w moim wykonaniu. Moi prywatni krytycy teatralni uważają za dobry wykonywany przeze mnie „Bal w operze” Tuwima. Wciąż święci triumfy program Daniela Olbrychskiego poświęcony Norwidowi i Krzysztofa Janczara poświęcony Słowackiemu.

Plany? Chciałbym zrealizować program Jana Swiderskiego poświęcony Norwidowi. Zofia Kucówna pracuje nad „Bramami Raju” Andrzeja Wajdy. Sam chciałbym wznowić „Duszyckę” Różewicza, przygotowaną wspólnie z Teresą Nawrot, aktorką Teatru Laboratorium we Wrocławiu. I mam nadzieję, że wreszcie uda mi się zrealizować komedię G.B. Shawa „Cezara i Kleopatry” w arcydowcipnej adaptacji Andrzeja Łapickiego.

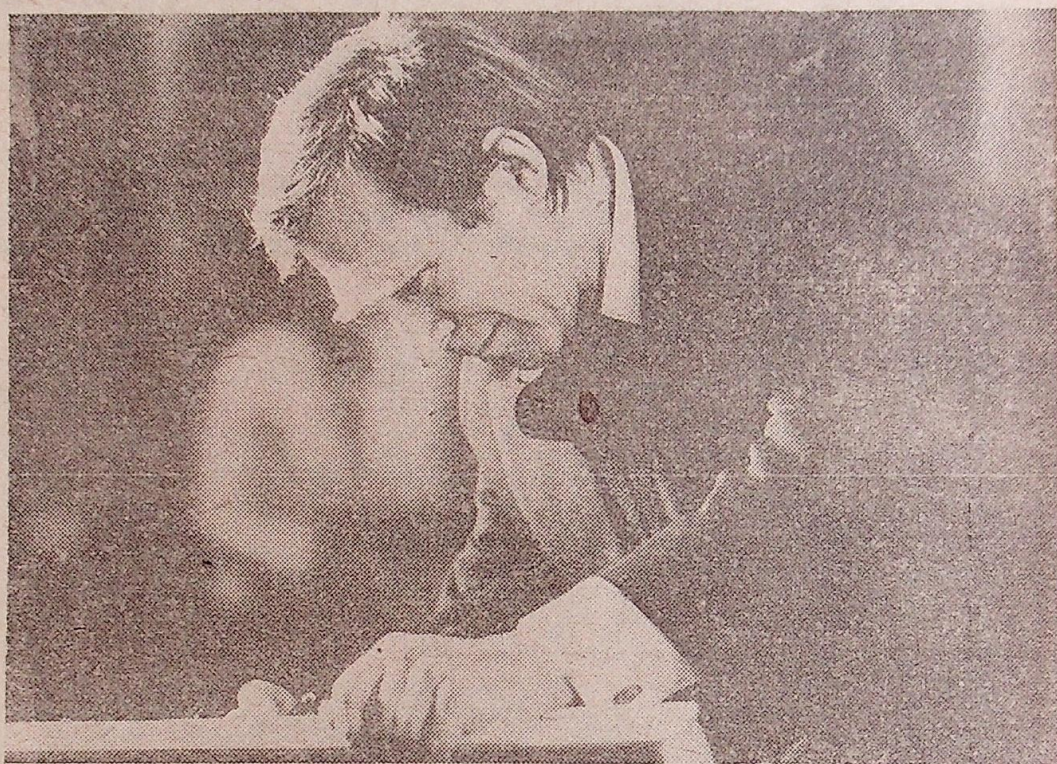
— Przygotował pan zupełnie nietypowe działania teatralne...

— „Stachuriadę”? Tak. To jest moje własne, prywatne zwycięstwo. Także nad sobą samym. Codziennie przez dwadzieścia sześć wieczorów spotyka się grono ludzi, aby wysłuchać rozdziału z książki Stachury. Już po pierwszym wieczorze do tego działania włączyła się publiczność. Dziewczyna przyniosła nagrania Stachury: jego ballad, jego

wierszy. Przyszli też poeci ze swoimi wierszami o Stachurze. Niektórzy z nich debiutujący. Był Węgier, który odczytał fragment swego tłumaczenia „Siekierzady” na węgierski. Aktor Andrzej Pieczyński śpiewa z gitarą ballady Stachury i wszyscy uczestnicy je podchwytyją. Mamy też sporo zebranej dokumentacji, Rękopisy poety, jego listy, nagrania.

W gruncie rzeczy w „Stachuriadzie” nie jest ważny Siemion, który czyta, lecz publiczność, która przychodzi i decyduje o ostatecznym kształcie przedstawienia.

Te nasze spotkania „Stachuriady” są pewną propozycją uprawiania własnego teatru



Fot. Krzysztof Raczkowiak

dla każdego miłośnika literatury. Ten rodzaj wspomnianego teatrowania wymaga innego wysiłku, niż dotychczas prowadzone teatry amatorskie. Tu rzecz cała nie polega na wyuczeniu się roli na pamięć, ale na możliwości podania drugiemu człowiekowi swojego rozumienia tekstu, swojej interpretacji. Nie musisz się uczyć na pamięć, ale musisz zrozumieć.

Tak sobie wyobrażam, może naiwnie, że od teatrów amatorskich, z różnych stron Polski dostanę kalendarze ich spotkań, miesięczne i dwumiesięczne i wówczas, gdy będę w tym mieście przyjdę do nich i podejmę kolejny rozdział.

Myślę, że takie uczestnictwo w działaniu teatralnym, obojętne, czy to będzie Różewicz czy Mickiewicz, da głębsze przeżycia własne, a nie tylko konsumpcyjno-telewizyjne.

Ale wracając do tego mojego zwycięstwa. Polega ono na tym, że odczytaliśmy całą powieść, a widzów-współuczestników przybywało z wieczoru na wieczór.

— Wyszedł pan od ról żołnierskich w filmach i od poezji ludowej...

— Odpowiem na to anegdotą: jeżeli ktoś przyjechał z Paryża i tam był tylko na placu Pigalle, więc po powrocie opowiada, jakie tam dziewczyny cudowne. Słuchacze pytają go: — A wieża Eiffla? — Nie widziałem. — A Luwr? — Nie widziałem. — A ekspresjonści? — Nie, ale mówię wam, jakie dziewczyny!

Czy ten jego Paryż będzie prawdziwy? Będzie, i czy będzie zupełnie nieprawdziwy? Będzie. Więc jeśli ktoś zna mnie tylko od strony ludowości czy filmów żołnierskich, to jest to prawdziwy obraz Siemiona? No, jest. Ale jest też nieprawdziwy, bo mam na

swoim koncie wieczory autorskie wszystkich polskich poetów, z którymi się w ciągu mojego życia spotkałem. Łącznie z Gałczyńskim, którego na żywo słyszałem. Leopoldem Staffem i Broniewskim. Z Iwaszkiewiczem, Jastrunem, Przybosiem. Nie mówiąc o młodszych generacjach.

Mogę powiedzieć, że debiutowałem wspólnie z czterema generacjami poetów. Pierwszy raz było to w okresie „Grupy samokształceniowej” i „Przyszeźatych”, Jurka Millera, Wiktora Woroszyńskiego, Tadeusza Kuźbina. Po raz drugi „debiutowałem” w STS z Witkiem Dąbrowskim, Agnieszką Osiecką, Abramowem Jarockim. Potem była grupa poetów 56. Recytowałem wiersze Staszka

Grochowiaka, Romana Sliwonika, Małgosi Hillar, Iredyńskiego na ich pierwszych wieczorach autorskich.

Mogę powiedzieć o czwartym „debiucie” w „Kabarecie pod Egidą” z wierszami Jonasza Kofty i Jana Pietrzaka. I to było piękne, że znów spotkałem się z nowymi ludźmi i nowym ostrym spojrzeniem na rzeczywistość. Usiłuję się nie zamykać. Usiłuję. Jakkolwiek coraz trudniej.

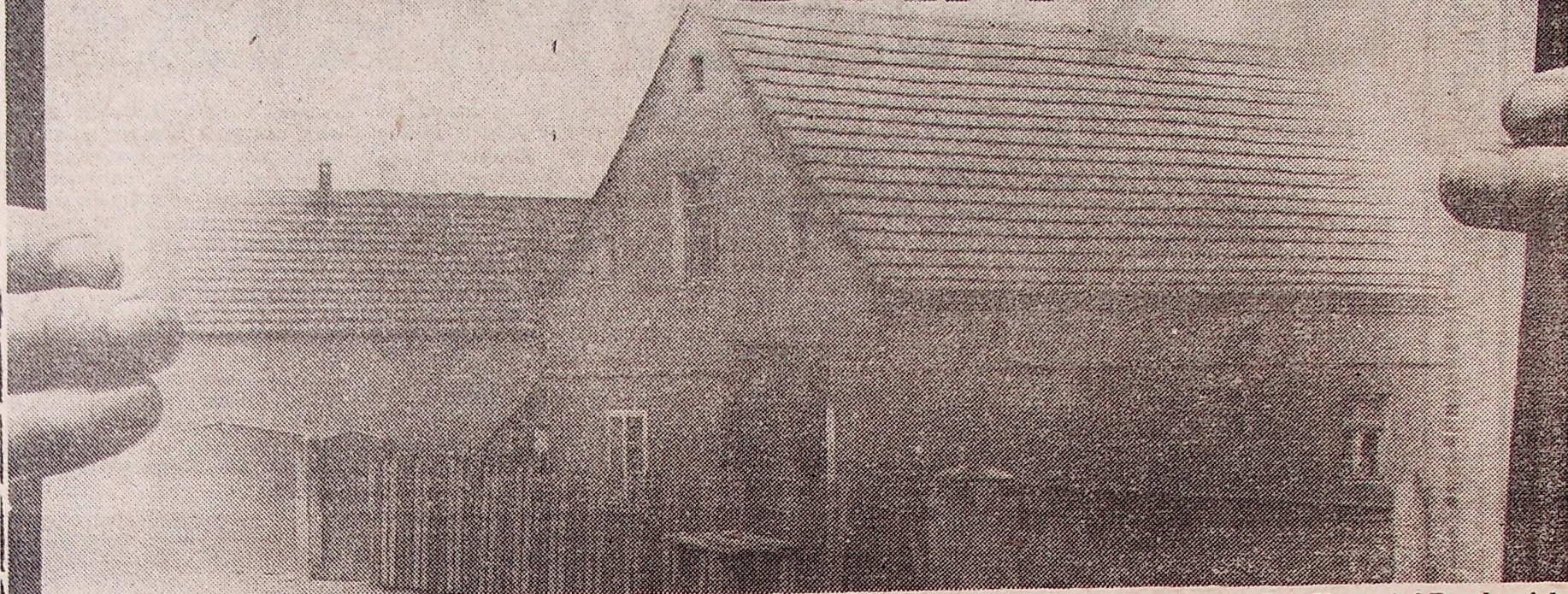
— Uczestniczy pan w różnych masowych imprezach np. w „Podwieczorku przy mikrofonie”. Czy to nie obniża lotów?

— Uważam, że w takiej masowej imprezie także powinno się znaleźć miejsce na poezję. I wcale mi nie przeszkadza, że obok będzie Koko i Friko, czy „Marszałkówna do tablicy”. Mówiłem w podwieczorkach i Różewicza i Grochowiaka, a Grochowiaka wówczas, gdy nie był jeszcze znany. I myślę, że w ten sposób trochę spopularyzowałem poezję i poetów.

— Widziałam pana „Wiejską galerię sztuki” w Petrykozach pod Warszawą. Wizyta tam jest dużym przeżyciem dla zwiedzającego, ale chyba trudno żyć w domu, w którym bez przerwy przewijają się zwiedzający.

— Oczywiście, jest trudno. Ale nie zakładam sobie łatwego życia. Myślałbym z żoną, że będzie to miejsce dla specjalistów, dla tych, których interesuje kolekcjonerstwo lub na przykład zbiory Giełniaka, czy jakiś rozdział malarstwa współczesnego. A przez publikacje masowe, nie powiem, bardzo miłe, stało się tak, że przychodzą wycieczkowicze i pytają: „Czy to wszystkie obrazy namalował pan Siemion?”. Albo „Gdzie można wypić kawę?”. A chciałbym, aby te zbiorowiska — wedle swoich możliwości — służyły ludziom naprawdę zainteresowanym. Ponieważ nie wszystko jest dla wszystkich!

UMOWA



Fot. Krzysztof Raczkowski

Wies murem stoi za Maksymczakami. Opinia tutejsza nie ma najmniejszych wątpliwości, że Jan Maksymczak dał się wyprowadzić w pole przez sądy i urzędy, a przede wszystkim przez Józefę Kic — właścicielkę 5,31 ha, mieszkalnego domu, obory i stodoły. W 33 domostwach tworzących wieś Groble rację przyznaje się tylko Maksymczakom, bo z punktu widzenia każdego gospodarza, według odwiecznych wiejskich kryteriów — tylko Maksymczak rację mieć może!

ZUPEŁNIE (choć może nie tak bardzo zupełnie) innego zdania jest Sąd Rejonowy w Złotoryi i Wojewódzki w Legnicy. Sąd uważa — i dał temu wyraz w wyroku — że Maksymczak, w świetle obowiązujących przepisów prawa, racji absolutnie nie ma. Inna sprawa, że sąd to też człowiek i jako taki — ale to zupełnie nieoficjalnie! — przyznaje, iż Maksymczaka wykiwno. Lecz winą to tylko jego, Maksymczaka i żaden sąd na świecie nie zlałby prawa, a szczególnie już prawa własności, tylko dlatego, że któraś ze stron ma wyraźnie lepszą opinię niż druga. Na tym właśnie zasadza się sądowa cała powaga i jego autorytet.

I dlatego, że panuje u nas praworządność, Maksymczak musiał przegrać. Przegrał, bo zbyt łatwo zaufał. Nie pierwsza to ofiara łatwowierności i nieznajomości przepisów, pewnie też nie ostatnia, ale dzieje sprawy Maksymczaka niech będą przestrożą dla następnych łatwowiernych i ufnych...

Zył sobie Jan Maksymczak z rodziną na odległym skraju wioski spokojnie, choć nie bogato. Jego chałupa, z pruskiego muru postawiona, dochodziła do kresu swojego długiego żywota bez najmniejszych szans na reanimację. Tymczasem marzyło się Maksymczakom normalne gospodarstwo — bez rozsypujących się zabudowań, z większym kawałkiem ziemi i z porządną hodowlą. Rozglądali się więc po okolicy, czy nie ma gdzie do kupienia kawałka ziemi i zabudowań. Do gminy też jeździł Maksymczak pytać czy w Państwowym Funduszu Ziemi nie ma dla niego czegoś interesującego. Nie było. Teraz na ziemię popyt ogromny, biją się chłopcy o każdy kawałek, a tu jeszcze PGR-y i rolnicze spółdzielnie w uprzywilejowanej kolejce stoją. Jednym słowem — ciężka sprawa. A z zabudowaniami jeszcze cięższa, bo nawet jak ktoś zdaje ziemię za rentę, to chałupę zwykle sobie zostawia.

Mniej więcej w środku wsi mieszkała natomiast Józefa Kic. W interesującym nas czasie mieszkała już samotnie — to znaczy bez męża, który rozstał się z żoną i Groblami, a sprawa rozwodowa właśnie była w toku. Rolnictwo nie było pasją, a nawet ulubionym zajęciem pani Józefy. Zainteresowania — rzecz można — miała zupełnie odmienne, odległe od roli. Hektary więc były wydzielane okolicznym rolnikom. Alieci zaistniała sytuacja rodzinna pozwoliła Józefie Kic dojść do wniosku, że nie musi już męczyć się na wsi — że wystarczy spieniężyć gospodarstwo, aby w mieście móc wreszcie odetchnąć pełnią życia.

I w taki oto sposób skrzyżowały się losy rodziny Maksymczaków i obywatelki Kic. Skrzyżowały się cztery lata temu, a na jak długo jeszcze — Bóg raczy wiedzieć...

Transakcja doszła do skutku 27 stycznia 1976 r. Szczęście obu umawiających się stron nie miało granic. Przed każdą bowiem otwierały się jakże pomyślne życiowe perspektywy! Dla Maksymczaka był to koniec codziennego oglądania czy dach trzyma się, a natomiast początek realizacji wielkich hodowlanych planów. Zyskiwał wszak w ten

styczniowy mroźny dzień nie tylko nowe domostwo, ale i ponad pięć hektarów, oborę, stodołę. I dla Kicowej radość była wielka — wreszcie mogła bogata w gotowiznę wyrwać się z zapadłej wsi, gdzie każdy na ręce patrzy, do garów zagłada i prywatne sprawy obgaduje (jak to na wsi!) i udać się w wielki świat — rozjarzony neonami.

Nie dziwiła przeto — przy takiej zgodności interesów! — że sprawy załatwiano w błyskawicznym tempie. Niejakich trudności przysparzał tylko fakt, iż nie było jeszcze formalnego rozwodu pani Kic z jej mężem, a tym samym i podziału majątku. Wiadomo zaś nawet dziecku, że sprzedawać można tylko swoją własność. W tym przypadku Józefa Kic była właścicielką, lecz tylko połowicznie w świetle prawa. Domniemywała jednak — i, jak się okazało, nie bez racji — iż z czasem stanie się właścicielką jędną, za sprawą przychylności sądu orzekającego rozwód. Przekonanie to podzielił również Maksymczak. Postanowiono więc co następuje: nie będzie się czekać na rozwód, bo obu stronom pilno sfinalizować rozpoczęte dzieło. To oczywiste. Że jednak nie mogła Kicowa sprzedać, zanim nie zostanie jedynym właścicielem gospodarstwa, sporządzono coś w rodzaju umowy przedwstępnej. Otóż gwarantowała ona Maksymczakowi iż natychmiast po zakończeniu postępowania rozwodowego i przyznaniu Kicowej gospodarki, właścicielka wraz z nabywcą udadzą się do notariusza, aby sporządzić akt kupna-sprzedaży. Czyli dopełnią tylko formalności urzędowych. Brak jednakże tych formalności nie powinien nie a nie przeszkadzać Maksymczakowi czuć się już od razu pełnoprawnym gospodarzem na 5,31 ha, w domu mieszkalnym, oborze, stodołę i całym obejściu. Nie przeszkadzał też wzięciu przez Kicową 50 tysięcy złotych zaliczki. Drugie 50 tysięcy złotych miał Maksymczak zapłacić po wyjściu od notariusza, 48 tysięcy natomiast miał wydatkować na spłatę pożyczek bankowych Józefy Kic. Umowę powyższą sporządzono na kancelaryjnym papierze i opatrzone podpisami zainteresowanych oraz dwóch świadków.

Po kilkunastu dniach został sporządzony aneks do umowy. Otóż Józefa Kic stwierdziła, iż lepiej będzie jak Maksymczak doda jej jeszcze dwadzieścia „patyków” zaliczki, a tylko 30 zapłaci później, po dopełnieniu formalności. Maksymczak się nie spierał, tylko zapłacił czego dowód we wspomnianym aneksie, na którym również widnieją podpisy Kicowej, Maksymczaka i dwóch świadków oraz data — 27 stycznia 1976.

Z siedemdziesięcioma tysiącami w kieszeni pojechała Józefa Kic do Legnicy, a Maksymczak rażno zabrał się do roboty w swoim nowym gospodarstwie. W domu położył tynki, pomalował, co trzeba ponaprawiał, pobielł, na stodołę pół dachu wymienił. Od Gminnej Spółdzielni kupił 10 cielaków i powiększył w ten sposób dotychczasową hodowlę: 16 sztuk bydła i 20 sztuk trzody. Miał w końcu gdzie trzymać i z czego żywić — z ponad 11 hektarów. Kupił też sobie ciągnik i maszyny do niego. Zaczął pa-

trzeć za kartą specjalisty...

I wtedy wróciła na wieś Józefa Kic.

Najpierw zażądała 30 pozostałych tysięcy, lecz Maksymczak nie dał, bo rozwodowe sprawy jeszcze trwały. Więc Józefa Kic zmieniła zdanie i kazała się Maksymczakowi wynosić z jej obejścia. Powiedziała, iż się rozmyśliła — że nie miasto, lecz wieś daje pełnię szczęścia. W związku z powyższym życzy sobie wrócić do domu, a nie życzy sobie w tym domu Maksymczaka. Spotkała się z kategorię odmową — bo i trudno inaczej, skoro stara chałupa Maksymczaka podupadła już zupełnie i została przeznaczona na magazyn pasz. Musiałby więc Maksymczak z rodziną i całym ryżącym i chrząkającym dobytkiem pójść koczować na łąkach... W tym stanie rzeczy Józefa Kic wniosła do sądu sprawę o eksmisję, twierdząc iż obywatel Maksymczak wraz z rodziną i dobytkiem bezprawnie okupują jej dom, obejście i pola.

W tym też czasie dobiegły kresu zmagania majątkowe przy rozwodzie. Najpierw sąd przyznał całość gospodarki byłemu mężowi Józefy Kic — i Maksymczakowie odetchnęli — ale na następnej rozprawie, której zażądała wywłaszczenia — sąd zmienił poprzedni werdykt i całość przyznał Józefie Kic, a byłemu mężowi tylko spłaty. Też już mogła się Józefa Kic rozprawić z Maksymczakami. Dla sądu, jak wiadomo, liczą się fakty a fakty były takie, że Maksymczak na podstawie nieformalnej umowy — która nikogo do niczego prawnie nie zobowiązuje — zajmuje cudzą własność. I sąd nakazał eksmisję. Nic nie mogły tu pomóc opinie urzędu gminy, że Maksymczak znakomity gospodarz, a Kicowa odwrotnie, ani umowa spisana na kancelaryjnym papierze z aneksem, nic nie pomogły odwołania Maksymczaka do Sądu Wojewódzkiego.

Ba, ale co innego nakazał eksmisję — a co innego ją wykonać. Nikt, nawet sąd nie ma prawa wyrzucić człowieka na bruk (w tym wypadku na pole) ani nie odważy się wygonić z ciepłej obory 3 krów, jałówek cielnej, 2 macier, tyluż tuczników i 18 rośłych warchlaków. Opróżnili więc Maksymczakowie połowę mieszkalnego domu i tam zamieszkała Józefa Kic. Po trzech latach sądenia się będą mieszkać razem. 70 tysięcy wpłaconych zaliczkowo Maksymczak nie odzyska — zostały przez sąd uznane jako opłata za używanie gruntów i zabudowań. Kilku tysięcy, które zdążył wydać na spłacanie długów Kicowej — też nie. Przepadły również grube pieniądze wydatkowane na procesy. Być może uda się sądownie odzyskać nakłady poniesione na remonty (około 50 tysięcy). Półtora hektara pszenicy ozimej, którą zasiał — też nie wiadomo kto będzie zbierał.

JEDYNE, co pozostało Maksymczakowi, to czekać aż znajdzie się w gminie jakieś gospodarstwo do kupienia. Jak cztery lata temu. Tyle, że teraz stał się nieco zrujnowanym sublokaterem...

Wies murem stoi za Maksymczakami. I za-
stanawia się wieś — co będzie dalej...

KRZYSZTOF DĘBEK

TRZY ŻÓŁTE KRESKI NA ZIELONYM TLE

Rodzi się obraz. Jasnoszare niebo. Krótkie pociągnięcie pędzlem. Czesław Moryks przenosi swoje nowe pomysły na płótno.

— Łatwiej malować ludzi. Nie trzeba dobierać kolorów. Ale na moich obrazach jest najczęściej przyroda. W domu mnie stara ze ścierką goni, bo zaraz mam farbę na spodniach. Chłapię na podłogę. Przychodzę więc do domu kultury. Co po ulicach mam latać. Wódki i tak nie mogę pić. Maluję z nudów. W Lubinie są dwa kina i pięć knajp. Byłem już hodowcą, robiłem żyrandole. W wolnych chwilach mozaiki z okleiny. Pracowałem jako sztygar elektryk w Zakładach Górniczych „Polkowice”. Teraz jestem na rencie. Maluję cały czas. Nad jednym obrazem pracuję dwa dni. Mam swój sposób widzenia, który chcę pokazać. Nie naśladowuję zawodowych malarzy. Chyba każdy może malować, jeśli się tego nauczy.

W Legnickiem nie ma typowej kultury ludowej. Twórczość plastyków amatorów w pewnym stopniu zastępuje tradycję sztuki ludowej.

W sali lubińskiego Domu Kultury Zagłębia Miedziowego spotyka się około dwudziestu osób. Jedni przychodzą tu malować i rzeźbić, inni po poradę, wskazówki — wolą bowiem tworzyć w samotności w domu.

— Z zawodu jestem kamieniarzem. Zaczętem rzeźbić bardzo dawno, byłem prawie dzieckiem — mówi Joachim Olejnik. — Już mój ojciec rzeźbił, więc się napatrzyłem, jak się to robi. Teraz mnie z kolei naśladuje syn i córka. Mam w domu swoją pracownię. Dzieci przychodzą i obserwują jak rzeźbię. Biorę do ręki kawałek materiału — drewno, kamień i zaraz mam pomysł, co z tego by wyszło. Wymyślam sobie różne tematy, np. chan Tatarów, Egipcjankę. W telewizji widziałem jak wyglądają. Mam też rzeźbę pod tytułem „Opiekun kobiet”. Dwie kobiety obejmują jednego mężczyznę. I on jest z tego bardzo zadowolony.

Zajęcia w sekcji plastycznej to nie tylko kurs rysunku, grafiki, malarstwa czy rzeźby. Opiekująca się amatorami plastyczka Georgette Ładziak stara się ukierunkować swoich podopiecznych zgodnie z ideą amatorskiego ruchu. Rozwijać indywidualne możliwości

twórców — ich własny, niepowtarzalny styl. Trzeba więc czasem tłumaczyć, że nie ma sensu malować nieudolne kopie, naśladować profesjonalistów. Najważniejsza jest wręczliwość twórcy amatora, jego sposób przeżywania świata.

Sztuka może być nie tylko pięknym hobby, dającym możliwość wyżycia się, przekazania innym specyficznej ekspresji własnej osobowości, może też być... intratnym zajęciem. Znani są domokrażcy, którzy wykorzystują swe plastyczne zacięcie do produkowania „van Goghów”, „Rembrandtów”, „Gauguinów”, „Wyspiańskich”. Tymczasem znacznie większą wartość ma naiwny, ale oryginalny obrazek. Dlatego na przeglądach twórczości amatorskiej najwyżej ocenia się prace, które są wyrazem osobowości artysty, a ich technika i styl jest samodzielna. Nie zdobywa zaś wyższych not malarstwo czy rzeźba, dążące do poprawności, do poziomu akademickiego.

W sekcji plastycznej trzeba pracować z każdym oddzielnie. Co człowiek, to inne problemy.

W malarstwie Haliny Drzewińskiej-Lisieckiej, z zawodu gospodyni domowej, dużo jest poezji, baśniowych motywów. Dojrzałe kolorystycznie obrazy mają charakterystyczny nastrój.

Rzeźby Bronisława Krzywulskiego są wypracowane, twórca dba o każdy szczegół. Powstała więc pracowita seria płaskorzeźb — „Wojsko polskie — jazda”.

Wśród plastyków-amatorów sporo jest ślusarzy, stolarzy, mechaników. Poza trudną, codzienną pracą próbują wyczarować pędzlem i farbami trochę poezji.

— Już mój dziadek malował — mówi uczeń Technikum Górniczego — Jacek Barykiewicz. — Przypatrywałem się i strasznie mi się to podobało. Chcę się nauczyć reguł malowania, abym mógł potem pokazać na płótnie, to co w otaczającym świecie wyda mi się ciekawe. W szkole nie ma wychowania plastycz-

nego, więc przyszedłem razem z kolegą na zajęcia do domu kultury.

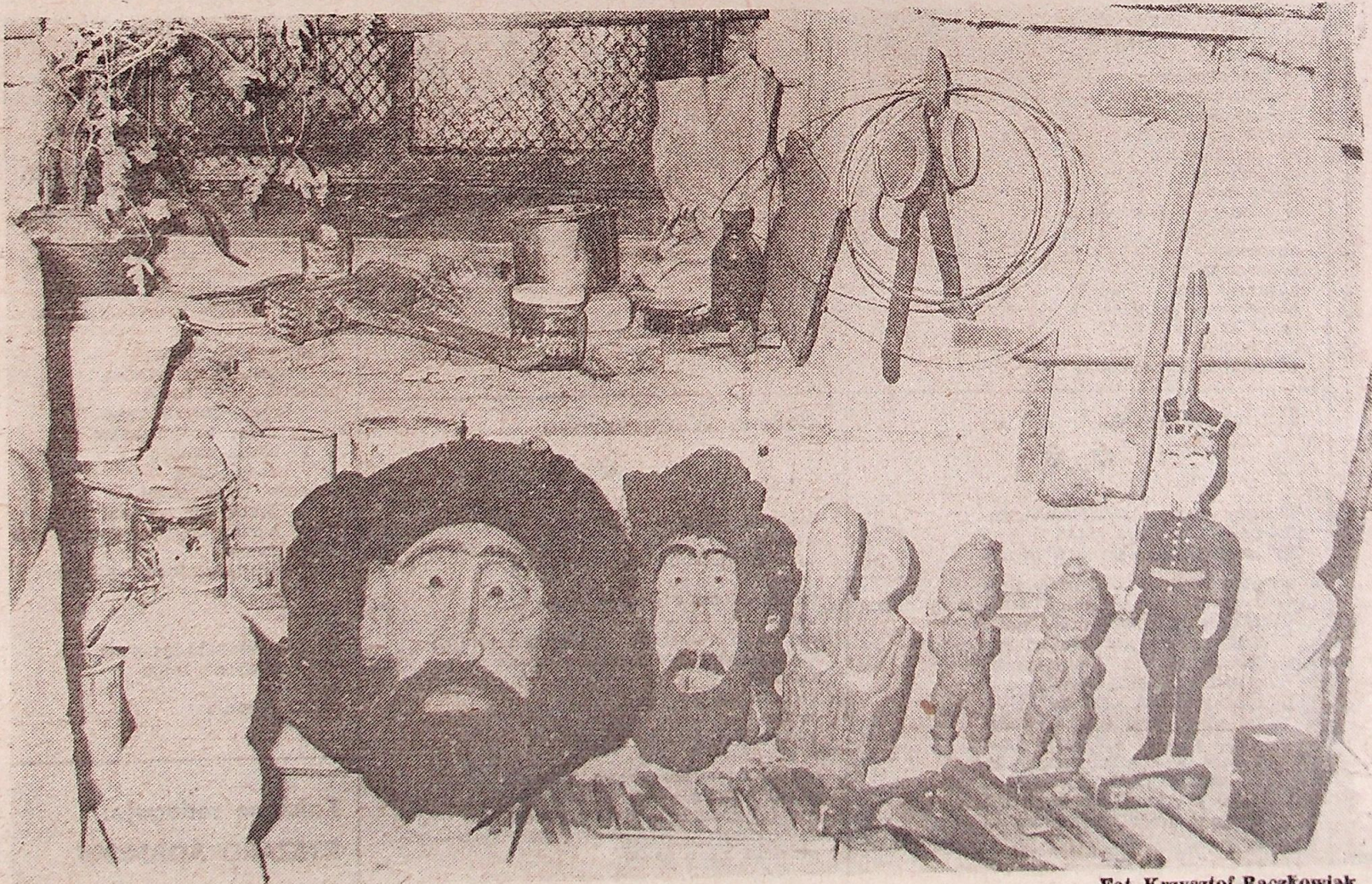
Nie wszyscy, którzy zgłaszają się do sekcji plastycznej mają zdolności, niektórzy tylko dobre chęci.

— Staram się nikogo nie zniechęcać — mówi opiekunka amatorów Georgette Ładziak — z dorosłymi trzeba czasem postępować jak z dziećmi, żeby nie zniszczyć ich zapału, nikogo nie urazić. Sądzą, że to nie szkodzi, gdy ktoś maluje nawet gdy nie ma zdolności. Będzie to forma spędzania wolnego czasu. Gorzej jeśli ktoś niewiele potrafi, a jest zarozumiały. Kiedy się go skrytykuje przestaje przychodzić na zajęcia. Niektórzy przynoszą prace uduchowione, nie rozumiejąc, że do malarstwa abstrakcyjnego trzeba dojść stopniowo, studiując gruntownie malarskie rzemiosło. Z czasem jednak rozumieją, że nie wystarczy namalować trzy żółte kreski na zielonym tle, żeby powstał obraz.

Twórcy amatorzy prezentują w swej twórczości ogromną różnorodność. Od naiwnego realizmu, poprzez sztukę, która ma swe źródło we wzorach ludowych i jarmarcznych do tradycji realizmu, postimpresjonizmu, impresjonizmu, nawiązują nawet do pewnych współczesnych eksperymentów formalnych.

Nie mniejszą jednak rolę od bogactwa estetycznego ich prac, ma poszukiwanie osobistych środków wyrazu, doskonalenie siebie dzięki pasji twórczej. W czasach ciągłego pośpiechu, masy różnych obowiązków rozwijanie własnego hobby świadczy chyba o dużej dyscyplinie wewnętrznej. Cierpliwości i wysiłku wymaga chociażby zdobywanie odpowiednich materiałów, pędzli, farb. Malowanie, rzeźbienie jest jednak przede wszystkim przyjemnością, dla niektórych nawet koniecznością.

IWONA OPOCZYŃSKA



Fot. Krzysztof Raczkowiak

Władysław Szymborska

STARA POCZTÓWKA

(żonie)

Rozgrzane płyty spękane Strzegomia
pamiętam
i wieże zabytków wiekiem rozpuchłych
i twój uśmiech słońce kwiatów w małej
dłoni
gdy serce jak motyl w locie chwyciłaś.
Tłusty czarnoziem skiby przyczesał Grobli
pamiętam
i traktor brązowy żuk chitynowy
i dłonie twego ojca bochen chleba
spękany.
Twoje usta kalina na wietrze owoc
spożywany
i piersi biodra w grzechu kołysane
pamiętam
i wiatr w twoich włosach liście klonu
w żrenicach rozwartych fotografia
nasza...

POWITANIA

(ojcu)

Wzgórze czarnoziemowe i sosna kaleka
zezem rosochata
od plam rdzawych rozpuchła
cień kuli graniastej przedrzeźnia
już świta...
Cisza ogłuchła od spodu szarpana waciana
pleśń
na skroś rozstrzelone ptakom nabrzmiła
gardło rozpęznione chwytą
już świta...
Wtem pieśń wiekuista nad sosną rozbucha
srebrzyste kuleczki otrząsa
i banie miedziowe opuka
już świta...

Stefan Żółkowski

Panu Włodzimierzowi P.

POŻEGNANIE

badyle
zasadka
pająk mucha w sieci
cień lipowych skrzypiec
chochoły
błądzą po polach
ktoś ochrą przemałował lasy
rozszczepione horyzontem światło
banie
znuwają
cichobiałe
obok
szeleszczą
czarnymi myślami makówki

plórko
w szklanym powietrzu odlatają
ostatnie klucze ciepłych krajobrazów
u
powąły
gwóźdź srebrny
na opak zasuszony księżyc
wielki korab o czerwonym żaglu
wzbiera
gwieźdny pyłem
garniec kipiącego miodu
smutno
dzwonią kielichy
odeszłe pożegnano lato

Tadeusz Marcinia

w bramie naszego mienasycenia
jest galop koni i przelot ptaka
jest krągłość gestu i siatka linii
jest dialog zgody i powrót świata
jest zbiór gwiazd w dłonie
i ramy grzechu
i jeszcze to wszystko
niewybrane w kolorze
nieczekane w zamiarze
niewidziane w odczuciu
niedodane w wyborze
nieumiane w prostocie
niecierpliwe w dotyku
nieuchwytnie w fakturze
nierozdzielne w pojęciu
nierozsądne dla innych
niespełnione
w formowanym obrazie

w przestrzenie
swoich napiętych linii
wpisywałem
twoje wędrowanie
na przecięciach
zostawiałaś
ślady ust
w pionach i poziomach
wplątywanie
obnazanie
dookreślanie
a przed nami
pozostawały wciąż
gesty skosów
i te elipsy
wirowania zapominania



Mariola Lewicka

W ciszy nadchodzącego wieczoru
jest coś o czym nie wiesz
TY zamknięty w murach miasta

płonąca kula nad jeziorem
zakotwiczona ostatnim blaskiem promieni
tworzy niepowtarzalny urok
ginącego za horyzontem słońca
jeszcze chwila oddech dnia
jedno uderzenie wiosła
głośny krzyk perkoza
na spokojnym lustrze wody
i już śmy w szalonym tańcu
wirują wokół zapalonych lamp
na trawie rozsiadły się świerszcze
między igłami wysokich sosen
buszują płochliwe wiewiórki

Tylko TY nie o tym nie wiesz
obojętny przed ekranem telewizora
wyczekujesz na kolejny koniec dnia

Bożena Woźniakowska

otarłam się o śmierć
własną
była zamierzona i niespełniona

zdumiała mnie śmierć inna
cudza
nie ciało obleczone w płótno szpitalne
stała obok łóżka fragment życia
szafka
zwykła szafka
mydło
kawałek skórki pomarańczy
i talerz
z tym co miało nazwę jedzenia
przed chwilą
dla tej co okryta była płótnem

otarłam się o śmierć
i muszę żyć

Mirosław Jerzy Gontarski

WIZYTA

kartkując czas
oczekuję ciebie
a ty
jesteś przy mnie
tylko nieustannie nieskończonym
profilem

boję się
wstrzymuję oddech
nie biorę dłońmi płomienia

LIŚĆ

wiesz
spadł ostatni liść
z drzewa przed naszym oknem
pamiętasz jak wczoraj walczył
wiatr chciał go porwać z całych
sił
a dziś
tak cicho
bez podmuchu wiatru
spadł

Agnieszka Susłowicz

PIETA KOŁOBRZESKA

Z białej ściany —
Odrywasz się kolorami,
Matko Boża.

Z ciężkich rąk —
Opada Ci martwe ciało —
Twego Syna —
Ranne zdjęte z krzyża.

Matko Boża Bolejąca,
Łusko Płewy —
Pod powieką niesiesz ogień
i w ściany biel szlochasz.

Koję Ciebie w sobie,
śmierć Twojego Syna —
Ciało — Słowo —
Ucisz w sobie ból w kolorze,
Podnieś oczy z farb.

Obudź w sobie gniew —
Nim przeminie cisza traw.

W tle witraży, naprzeciwno,
dorastamy do cierpienia
obok krzyku zdjętych z bitwy,
Synów ludzi — tu poległych
prz. nadmorskich twierdzach.

przeciw tobie niosę
tężbę zamyslenie
przeciw tobie niosę
rzeki moich oczu
suszę krajobrazów
nieba śmierć
drogi dróg
przeciw tobie niosę
próbę niepowrotu
niezłożoną metaforę słowa
gniew
beznadziejność światów

a ty
idę
wołasz odpychając czas
idę czekaj na mnie
wołasz
przeciw mnie

Kolumnę redaguje:
RYSZARD ADAMÓW

Nasi przodkowie nie mieli przychodni, szpitali i klinik. Nie usuwano im wyrostków robaczkowych, wrzodów. Nie operowano, nie prześwietlano, nie przeszczepiano serca, nie kluto zastrzykami, nie faszerowano pigułkami. Ba, nie każda, najmniejsza nawet osada. Medycyna ludowa kwitła. Ludzie leczyli się także sami, dlatego tak popularne były przepisy drukowane w „zielarzach”. Każdy szanujący się kalendarz poczytywał sobie za sprawę honoru zamieszczenie kalendarzy XVIII-wiecznych w nadziei, że nasi Czytelnicy nie zechcą przepisów onych i recept na sobie przyśłu zakrapianych świątecznych biesiadach. W każdym razie lektura na pewno wnośli wiele nowego do poznania obyczaju sprzed dwustu kilkudziesięciu lat...

MURZYNA Z BIAŁEGO CZŁOWIEKA ZROBIĆ

O ZDROWIU, CHOROBAH I INNYCH SUKCESACH

Jezeli z ciekawości chce kto starożytnych uważać astrologiczne obserwacje autorów, oznaczali oni i dotąd oznaczają lata, które albo pomyślne albo niepomyślne, albo zdrowia ludzkiemu sprzyjające, albo nienawistne sądzą. I tak oznaczają LATA KLIMATERYCZNE, które są zdrowiu ludzkiemu nieprzyjemne, dwojako one rachując od początku życia każdego człowieka, to jest: albo przez liczbę 7, albo liczbę 9, które według takowej liczby wychodzą wieki 7, 14, 21, 28, 35, 42 etc., albo wieki 9, 18, 27, 36, 45 etc. A zaś ze wszystkich lat klimaterycznych rok 63 najniebezpieczniejszym być twierdzą. Co do sukcesów, fortun, bogactw, godności i innych zysków nabywania, ciż astrologowie lata osobliwe 21, 22, 23, 26, 35, 38, 41, 45, 47, 50, 54 od narodzenia każdego człowieka szczęśliwymi uznają. Lata na koniec niepomyślne, które choroby różne i nieszczęścia także prace, smutki, nieprzyjaźni, szkody, przypadki odkrywają albo z śmiercią łączą się zwykły, oznaczają te: 14, 24, 30, 32, 36, 40, 44, 48, 53, 56, 60. Od lat zaś wyżej 70 niekiedy z doświadczenia sama natura słabości życia ludzkiego bywa okazją. (z „Kalendarza gospodarzkiego” z 1777 r.)

LEKARSTWA RÓŻNE DOMOWE, DLA LUDZI BARDZO POTRZEBNE, KTÓRE KAŻDY MOŻE SOBIE ZROBIĆ NA DUSZNOŚĆ

Póki się nie zastarzeje, weź rumianku pachnącego, włóż w woreczek, uwarz z octem i ciepło na poduszki u nóg przykładaj. Smarować piersi olejkami migdałowym gorzkim albo gryczym i polykać kołaczki białe. (...)

LEKARSTWA NA DYMIENICE (ROPIENIE), WRZODY, BOLĄCZKI I ŁOŻNA CHOROBY

Leczyć je tak. przykładaj na nie empy (lastrum) de meliloto albo kokosz żywo rozdarta, albo żabę ziemną, ropuchę suszoną, albo lapiz di cobra, albo tłuściość niedźwiedzia. Weźmij soli pospolitej miarki, ile chcesz, rozmieszaj z nią żółtek jajowych, żeby było gęste jak masło, przyłóż na bolące albo na miejsce zarażone, a w krótkim czasie, za łaską Bożą, chory będzie zdrow. (...)

LEKARSTWO NA MOROWE POWIETRZE

Jaskółcze ziele. Zachowuje to ziele ludzi od zarazy powietrznej. Weźmij tego ziela, rutę, czosnku i gorzałki, utłucz to wszystko razem na miazgę, wyciś z niego sok, dawać tego soku każdego dnia łyżkę dobrą na czczo z rana, za czym z domu kto wynidzie.

Dzięgiel. Dawać tego korzenia ludziom, aby go trzymali w ustach i żeby go żuli, służy to tym, co jeszcze powietrza nie zachwycili rano na czczo; za czym z domu wychodzić mają, niech ten korzeń żują i trzymają w gębce.

Dobra rzecz jest i to pomocne, moczyć ten korzeń w winnym dobrym occie przez noc, przygrzać tego i pić ciepło z rana, za czym z domu wynidziesz; umaczaj w tym occie gębę albo chustkę, trzymaj to pod nosem, za czym z domu wynidziesz. Może ten korzeń jeść w potrawach, może go nosić na gołym ciele; broni od zarazy tych, którzy jeszcze powietrza nie zachwycili. (...)

LEKARSTWO NA TRUCIZNĘ I JADY WZELKIE

Gdy kto zachwyci trucizny. Niech się zaraz napije masła roztopionego jak najwięcej, aż póki nie zwonituje jak najprędzej, albo miodu słodkiego, albo oliwy, a tego wszystkiego jak najwięcej i jak najprędzej być może, albo jakimkolwiek sposobem woni niech poruszy, bo na tym zdrowie zależy. Znaki zaś arszeniku wypitego te są: że pali jak świeca, począwszy od żołądka, w piersiach, aż do gardła. (...)

LEKARSTWO NA WIELKĄ CHOROBY
Piwonii. Nosić ten korzeń na gołym ciele, wielką chorobę uśmierza i zachowuje od niej drugich, którzy jej niemieli.
Czary i wszystkie gusta czarownic odgania to ziele.



Kto by miał wielką chorobę, niech mu do łóżka naścielią piwonii i niech na niej sypia, uznasz skutek pewny.

Duchy nieczyste z ludzi wygania korzeń dany w trunku albo nim podkurzać opętanego — jest rzecz pewna i doświadczona.

NA KWARANTANIE

Wziąć pajęczyny i piolunu tyleż, utłucz to w moździerzu, żeby tego było jak kurze jajo i przylewać do tego octu dobrego, i podzielić to na cztery części: jedną część przyłożyć na puls u prawej ręki, drugą na lewej ręce, trzecią i czwartą — pod podszewy u nóg, przez chustki, aby nóg nie gryzły; trzeba to przyłożyć na pół godziny przed paroksyzmem i położyć się. Choćby najdawniejsza febra, musi przepaść zaraz.

NA FEBRĘ CODZIENNĄ

Gdy nęczyżni: — wieprzowego, gdy białogłowie — świnięgo lajna wzięwszy, pieprzu i szafranu przysypawszy, miodu prawnego łyżkę włożyć, w piwie dobrze uwarzyć choremu dać pić, probatum (wypróbować).

Zająć świeżego głowę odciąć z sierścią i tłuc ją ze wszystkim w stępie albo moździerzu, i tę masę na chustce rozciągnąć blisko serca przyłóż, i tak długo trzymaj, aż się zeschnie, probatum. Toż i na gorączkę.

NA KOLKI

Pokrzywa. Warz te pokrzywy w winie, dawaj tego wina pić choremu, to uśmierza kolki.

LEKARSTWO NA BÓL

Krwawnik i bluszc. Dostać ziela krwawnika i zela bluszcza, utłucz to razem na miazgę i przyłóż na tę stronę, gdzie zęby boją, na wierzch albo skronie.

LEKARSTWO NA KAMIEN

Zurawie nózki. Nazbierać tego ziela, warz go w winie albo też utrzeć go na proszek, daj go wypić w trunku jakim, wyprowadza z pęcherza muł i piasek.

MISCELLANEA NIEKTÓRE O CZŁOWIEKU

LYSA GŁOWA WŁOSAMI NAPEŁNIC
Żółtków z jajek kurzych, wiele chcesz, upiec na blasze żelaznej i sokiem z nich wyciśniętym smarować łysinę; wznijdą na niej włosy naturalnie gęste.

Albo: chleb jęczmienny ususzysz, utrzeć go na proch, do tego przydać soli i sadła niedźwiedziego; tym smaruj łysinę.

Albo: uwarzyć na kleik żyta zielonego jeszcze nie dojrzalego i tym smarować głowę lub przez chustkę przykładaj.

Albo: ugalić nasienia lnianego, zetrzeć na

proch i zmieszawszy z oliwą smarować łysinę; w krótkim czasie włosami porosnie.

Toż czynią: żywo spalone żaby w garnku nowym, zmieszawszy tenże proch z prawnym miodem.

Takoż: spaliwszy pszczoł kilkanaście, zmieszać proch z gnojem myszy polnej i skropić rozowym olejkiem; prędko urosną włosy, chociażby na dłoni, smarując tym.

Albo: pszczoły ususzyć w koszyku przy ogniu, żeby w proch zetrzeć się mogły; tenże proch rozpuścić oliwą i miejsce, na którym chcesz, aby włosy rosły, nasmarować. Dziwnie skutek uznasz.

NIE OSIWIEĆ ALBO SIWIZNY POZBYĆ SIĘ

Mlekiem. suczym głowę i włosy namaczaj; rzecz jest doświadczona, że takie włosy nie siwieją.

Jezeli siwych włosów chcesz pozbyć, a innych nabyć młodych, utrzeć suchego gnoju kocięgo na proch jako najmielszy, przesiać go i z octem mocnym atemperować gęsto, czym namaściwszy włosy, opadną, a gdy już łysina stanie się, to czynić, co głowę łysą włosami napędzić, a urosną włosy nowe. (...)

MURZYNA Z BIAŁEGO CZŁOWIEKA ZROBIĆ

Weźmij w aptece halinitrum, salem armeniacum, vitriolum romanum i kopci spód kotła, to jest sadzy do kotła przylegającej, każdego po równej części, wlej wody i przydystyluj w alembiku, (przrzad do destylacji), którą wódką, gdy człowieka umyjesz, będzie jak Murzyn czarny, ale już więcej nie odmyje się.

PIJAKOM TRUNEK OBRZYDZIC

Do gorzałki lub innego trunku wpuścić krwi karpiczej, umieszawszy dobrze, dać wypić.

Albo: rybki śliżyki zwane namoczyć żywo w gorzałce, a wyjawszy dać wypić. Insi radzą moczyć w trunku, jakim się pijak kontentuje, węgorka albo żabę, albo kroplę, a najwięcej dwie wpuścić w trunek krwi spód gardła węgorka. Leczyć to rzecz niebezpieczna dla wómitów, osobliwie którzy już mają wewnętrzną nadwagę; inszym boki trzeba dobrze związać.

Kto by pił sok albo wodę z odciętych gałęzi winnych wyciśniętą, wcale do wina apetyt utraci.

PIĆ, A NIE UPIĆ SIĘ ŁATWO

Wycisnąć soku z głabów białych i jabłek granatowych cierpkich, każdego części dwie równe, octu część jedną, warzyć wszystko razem, żeby się stał syrop, którego zażywać uncją, to jest łyżek dwa, przed pićm winem.

Albo: zjeść na czczo migdałów gorzkich pięć albo sześć.

Toż czyni płuca kozie albo owce pieczonę i przysmażoną zjadłszy; nasienie kapustańskie, piolun i ametyst noszony od pijactwa przetrwują.

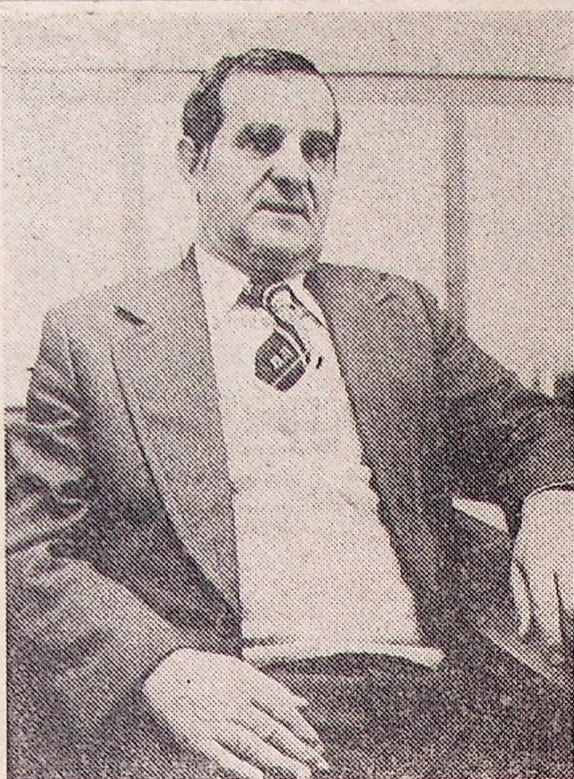
Albo wprzód zjadłszy ze trzy łyżki kapusty kwaśnej surowo. Jaskółek spalonych popiół w winie pity z mirrą, na wieki pijąc, nie da upić się. Toż czyni sok z liścia utłuczonego brzoskwini wyciśnięty.

UPIĆ SIĘ PRĘDKO I PRĘDKO WYTRZEZWIEĆ

Pokrzyk, po łacinie mandragora ziele, mające owoc jak laskowy orzech, których lupiny warząc w wodzie, aż zaczerwienieją; wino nią zmieszane przyczyną jest prędkiego upicia. Toż ziele moczone albo warzone i jakkolwiek zażywane, sen i upicie bez szkodenia sprawuje. Wytrzeźwi się prędko, kto ocet pije, kapustę je kwaśną, albo słodkie pierniki. Jezeli dudek zaśpiewa niż macieć wino papie (paki) wypuści, tego roku wina urodzajne.

(z „Kalendarza Duńczewskiego” z 1751 r.)

Wysperat:
CZESŁAW PAŃCZUK



SZYBCIEJ DO CELU

TADEUSZ SOWIŃSKI
— I sekretarz KM PZPR

— Ostatnie dwa lata były dla Jawora okresem dalszego, dynamicznego rozwoju — notowanego od początku lat siedemdziesiątych, a szczególnie widocznego w ostatniej pięciolatce. W tym czasie unowocześniliśmy nasz przemysł. Zakłady Kuziennicze i Maszyn Rolniczych wybudowały za 2,2 mld zł nowy zakład produkcyjny i wydały 500 mln zł na modernizację starych obiektów. Przez 12 lat nie mogła ruszyć inwestycja Fabryki Wyróbów Metalowych (300 mln zł). Ostatnio trudności pokonaliśmy i powoli rodzi się nowy zakład FWM. Na zmodernizowanie swojego zaplecza i nowe linie automatyczne „Pollena” wyda w latach 1979—80 ok. 119 mln zł.

Łącznie w ostatnich latach państwo przeznaczyło na odnowę i rozwój jaworskiego przemysłu ponad 3 mld zł! Pracuje w nim 5 550 osób, w tym 5 050 mieszkańców miasta. Wartość rocznej produkcji sięga już 4 mld zł, czyli jest prawie dwa razy większa niż na początku pięciolatki. Mamy też wiele małych zakładów, państwowych i spółdzielczych. W najbliższych latach trzeba będzie poprawić w nich warunki pracy, lepiej i nowocześniej wyposażać je w park maszynowy.

Współczesny przemysł musi się rozwijać równolegle z budownictwem mieszkaniowym.

wym. Niestety, nie zawsze tak w Jaworze było.

Np. Zjednoczenie Maszyn Ciężkich i Rolniczych budowało „kuźnię”, ale zapomniało o mieszkaniach dla jej pracowników. Od wyzwolenia do roku 1970 wybudowano w Jaworze 166 mieszkań. W kończącej się obecnie dekadę weszliśmy z ogromnymi potrzebami. Pierwsze ożywienie w budownictwie to lata 1971—75. Wybudowaliśmy 368 mieszkań. Na tę pięciolatkę zaplanowaliśmy 700 mieszkań. Postęp robót jest dobry. Duża w tym zasługa zakładów pracy. Dwa budynki mieszkalne wybudowała „Kuźnia”. Po jednym — FWM, „Pollena” i Okręgowy Zakład Transportu i Maszyn Drogowych. To bardzo cieszy! Gorzej, że aktywność przemysłu w rozwiązywaniu kwestii mieszkaniowej wykorzystują przedsiębiorstwa budowlane, często wycofujące się ze swoich zobowiązań...

Rozwija się budownictwo indywidualne. W latach siedemdziesiątych jaworzanie postawią 174 domki. Uzbrojenie tych osiedli wykonują również zakłady pracy — „Kuźnia”, Cukrownia i Zakład Rolny. Tak więc w nowo wybudowanych budynkach zamieszkało w kończącej się dekadzie około 4 tys. osób. Potrzeby są jednak nadal ogromne. Z wkładami na mieszkanie spółdzielcze czeka w Jaworze ponad 1.600 rodzin. Myślę jednak, że w przyszłych latach będziemy mogli budować jeszcze więcej.

Zakłady przemysłowe pomagają też w budowie miejskiej infrastruktury. Właśnie 18 grudnia oddaliśmy do użytku trzecie w Jaworze przedszkole. W całości jest ono dziełem załóg naszych zakładów. W przyszłym roku powstaną jeszcze dwa i wtedy już wszystkie dzieci w wieku przedszkolnym będą miały w nich miejsce.

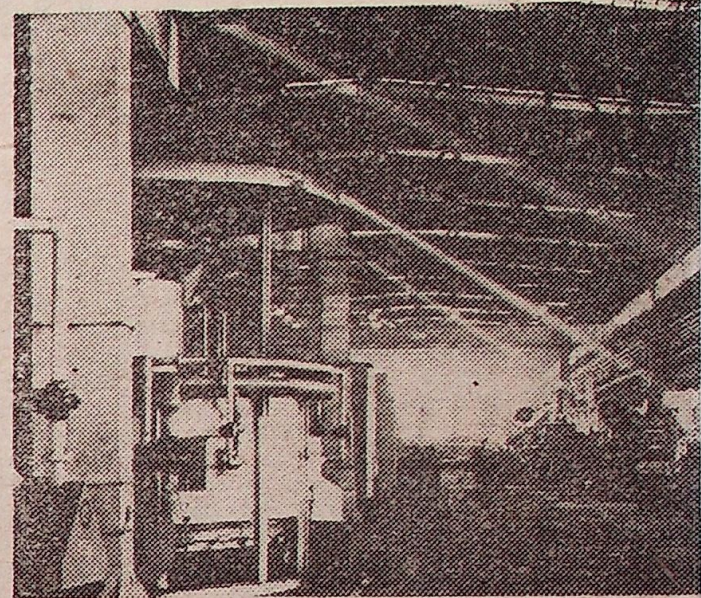
Gorzej ze żłobkami. Obecnie mamy tylko jeden. Chcemy jednak umożliwić młodym matkom — zdolnym i wykwalifikowanym pracownikom — podjęcie pracy. Dlatego w przyszłym roku otworzymy kolejne dwa żłobki: w budynku zaadaptowanym i w nowym obiekcie. Problem opieki nad małymi dziećmi rozwiązałaby budowa jeszcze dwóch żłobków. Właśnie przymierzamy się do tego zadania.

Ostatnio Jawor podjął odważną inicjatywę. Pierwotnie planowano u nas budowę pawilonu szpitalnego. Postanowiliśmy rozszerzyć ten plan i rozpoczęliśmy wznosić szpital. Myślę, że przed końcem przyszłego roku będzie już gotowy.

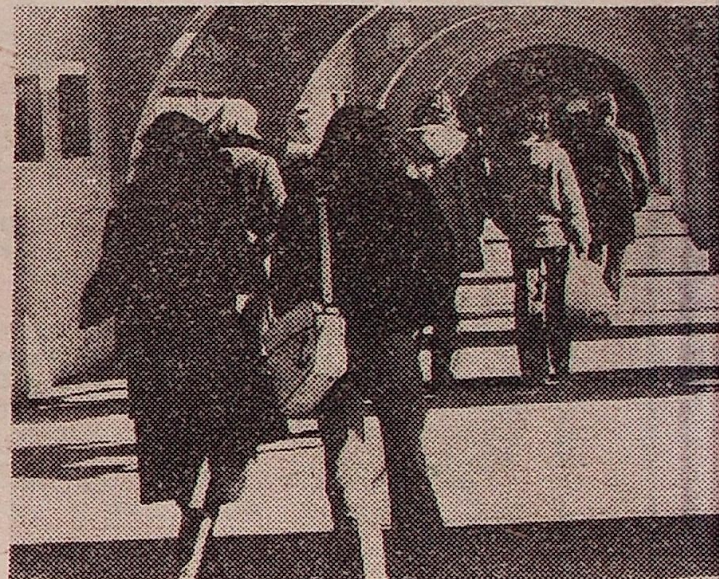
Wiele z tych efektów — przyrostu produkcji, mieszkań, przedszkoli, inicjatyw, które sprawiają, że nasz marsz do celu, jakim jest nadrobienie powstałych przez lata opóźnień i pokrywanie nowych potrzeb, jest szybszy — to wynik ofensywnej roli jaworskiej organizacji partyjnej. Obecnie mamy 2 016 członków i kandydatów PZPR — o 700 więcej niż w roku 1975. Wśród nich 60 proc. to robotnicy. W nową dekadę wkroczymy z dwoma poważnymi, potrzebującymi szybkiego rozwiązania problemami: mieszkań i wody dla Jawora.

Wieczorem 12 lutego 1945 roku Jawor, po około 650-letniej rozłące, znów znalazł się w granicach Polski. Prawa miejskie otrzymał w roku 1242. Po Bołku II, ostatnim piastowskim władcy Jawora, miasto dostaje się pod panowanie czeskie, następnie austriackie, pruskie i jest w granicach III Rzeszy.

Jawor
szkańców
głównie
chemiczn
dzielczoś
produs,
Usługowa
Pionier)
kładach
TOPAN.
Jawor



Jaworskie Zakłady Kuziennicze i Maszyn Rolniczych — największych w Europie wytwórni średnich odkuw



Podcienia w Ryнку są ulubionym miejscem spaceru. Tutaj znajduje się centrum handlowe



BRAKUJE USŁUG

JAN BIALEK
— naczelnik miasta

— Konserwator wojewódzki zakreślił na planie Jawora koło, wewnątrz którego znalazło się około 70 proc. budynków miasta. Posiadają one wartość zabytkową i trzeba zrobić wszystko, aby je odnowić i zachować dla przyszłych pokoleń. Właśnie trwają prace inwentaryzacyjne i przymiarki do programu odnowy starego Jawora. W ostatnich latach odnowiliśmy nasz Rynek. Obecnie trwa porządkowanie zaplecza jego kamieniczek. Remontujemy też zabytkowy obiekt, w którym znajduje się miejskie muzeum. Niestety, rewaloryzacja całego starego miasta — jest ponad nasze obecne możliwości finansowe i organizacyjne...

Jaworskie wyniki w dziedzinie podnoszenia estetyki miasta znane są w województwie. W 1978 roku w konkursie estetyzacji zajęliśmy II miejsce, tuż za Legnicą. W latach 1977—79 wykonaliśmy ponad 470 nowych elewacji, a prace modernizacyjne były przeprowadzone w 185 budynkach. Odnowiliśmy 40 tys. m kw. asfaltowych dróg i chodników. Przybyło 1,5 ha terenów zielonych. Rozpoczęliśmy odnowę pierwszej, sześćhektarowej części miejskiego parku.

W Jaworze mamy sklepy wszystkich branż przemysłowych. Kłopot w tym, że mieszczą się one w starych, małych lokalach. Np. w

Rynku nie można, ze względów budowlanych łączyć pomieszczeń, by w ten sposób unowocześniać sieć handlową. Wiele jednak w tej sprawie zrobiono. Wylądowały sklepy WPHW. Firma ta otworzyła też nową placówkę — sklep jubilerski. Sklep zaopatrzenia rzemieślnicze i sklep spożywczy otworzył WZSR. W latach 1977—79 przybyło ponad 30 zakładów i punktów usługowych.

Mamy jednak sporo potrzeb. Brakuje placówek handlowych w osiedlu Piastów. Pod koniec roku otworzymy tu jeden pawilon. Drugi powstanie w roku przyszłym. Brakuje usług motoryzacyjnych, myjni samochodów, zakładu lakierniczego. Wyszukujemy wolne place (jest ich w zasadzie bardzo niewiele) i na nich rzemieślnicy budują swoje zakłady. Nowy plan rozwoju przestrzennego Jawora bardzo ograniczył możliwości ekspansji terytorialnej miasta. Dlatego np. brakuje nam terenów pod garaże. W Urzędzie Miejskim czeka na załatwienie ponad 150 podań w tej sprawie... W najbliższych latach musimy podjąć problem rewaloryzacji starego Jawora. Trzeba wybudować szkołę na osiedlu. Powinniśmy sfinalizować inwestycje komunalne: oczyszczalnię ścieków, kolektor i wysypisko.

1945
et-
e
ra
Jawor
szkolenia
głównie
chemiczne
działalność
produkcji
Usługowe
Pionier
kładach
TOPAN
Jawor

ma dziś 19 tys. mie-
Zajmują się oni
metalurgia, produkcją
Pracują też w spół-
zi (spółdzielnie: In-
Obrońców Pokoju,
Spółdzielnia Pracy,
oraz w małych za-
produkcyjnych — FO-
nitra-D'ora.
znany jest ze swoich

inicjatyw kulturalnych. Tutaj
mają swój festiwal filmowcy —
metalurzy. Odbývają się zna-
ne w kraju Biesiady Literackie.
W „Kuźni” działał amatorski
zespół estradowy „Metalow-
wcy”, którego solistki zdoby-
wały laury w konkursach pio-
senki radzieckiej. Co roku od-
bywa się w tym mieście festi-
wal piosenki żołnierskiej. Włas-

nymi siłami miasto odbudowu-
je i urządza muzeum miejskie.

Jaworzanie w rozwiązywaniu
problemów miasta wyznają za-
sadę „Zrób to sam” i dobrze
na tym wychodzą. Pojawiły się
jednak sprawy, w których trze-
ba im pomoc: kompleksowa
odnowa starego Jawora i za-
opatrzenia w wodę.

IRENA PAPCIAK — dyrektor
Miejskiej Biblioteki Publicznej w
Jaworze:

— Gdy Jawor przestał być mia-
stem powiatowym, obawiałam się o
jego przyszłość. Mieszkam tu od 1946
roku i muszę przyznać, że nigdy do-
tychczas Jawor nie rozwijał się tak
szybko i wszechstronnie, jak po re-
formie administracyjnej w 1975 ro-
ku.

Zawsze było bardzo źle, jeżeli cho-
dzi o budownictwo mieszkaniowe.
Teraz, w woj. legnickim, robi się w
tym względzie bardzo wiele. Powsta-
ło duże osiedle. Mamy ładny, odre-
stauiowany Rynek i stare uliczki.
Zbudowaliśmy ośrodek wypoczynko-
wy dla mieszkańców miasta. Wiele
spraw czeka jednak na rozwiązanie.

Myślę, że trzeba przeprowadzić we-
ryfikację lokali handlowych i wygo-
spodarowane tym sposobem po-
mieszczenia przeznaczyć dla kultury.
Mamy np. dwa sklepy z konfekcją
męską. Czy nie lepiej urządzić jeden
— nowoczesny i dobrze zaopatrzo-
ny?

GŁOSY MIESZKAŃCÓW

Witryny sklepów w Ryнку straszą szpetotą. A przecież Jawor jest
miastem często odwiedzany. Czy
nie można wprowadzić tu sklepów
branży pamiątkarsko-turystycznej?

Zbyt małe są możliwości gospo-
darki komunalnej. Huragan znisz-
czył sporo dachów. Niestety, nie
można się doczekać na ich napra-
wę.

Myślę, że warto podjąć starania o
powołanie domu kultury dla dzieci.

BRUNO STEPNIAK — przewod-
niczący Konferencji Samorządu Ro-
botniczego w „Pollenie”:

— Cieszy mnie to, że w naszym
zakładzie ruszyła budowa zaplecza
technicznego. Za tym zaś idzie po-
prawa warunków pracy. Ruszyła też
budowa nowego zakładu Fabryki
Wyrobow Metalowych. Nasi koledzy
będą wreszcie mogli się wyprowa-
dzić ze starych, ciasnych hal. Na po-
prawę warunków pracy wpłynie w
„Pollenie” wyeliminowanie szkodli-
wego dla zdrowia „Javoxu” i uru-
chomienie w jego miejsce produkcji
płynu o podobnych właściwościach.
Jako przewodniczącego KSR cieszy
mnie też fakt, że już 100 proc. na-
szej załogi może korzystać co roku
z zakładowych ośrodków wczaso-
wych.

Najbardziej dokuza naszej załodze
— w 70 proc. kobiecej — brak
miejsc w przedszkolach i żłobkach.
Nie udało się nam jeszcze wyeliminować
prac szczególnie uciążliwych.
Często brakuje prostych, ale nie pro-
dukowanych w Polsce urządzeń. Np.
stołów do pakowania.

W Jaworze mieszka się coraz le-
piej. Mamy ciekawe imprezy kultura-
lne, organizowane przez Robotni-
cze Centrum Kultury. Biesiady Lite-
rackie dotarły aż... do zakładów pra-
cy. Mamy połączenie WPK z Leżni-
cą. Jaworski Zakład Doskonalenia
Zawodowego przeprowadza już dru-
gi kurs dla mistrzów, co w dużym
stopniu może się przyczynić do
zwiększenia efektywności pracy ka-
dry nadzorczej i jej stabilizacji.
Wśród mankamentów miasta wymie-
niłbym brak sklepu meblowego z
prawdziwego zdarzenia.

ALEKSANDER PRUSZKOWSKI —
dyrektor Zakładów Kuzenniczych i
Maszyn Rolniczych:

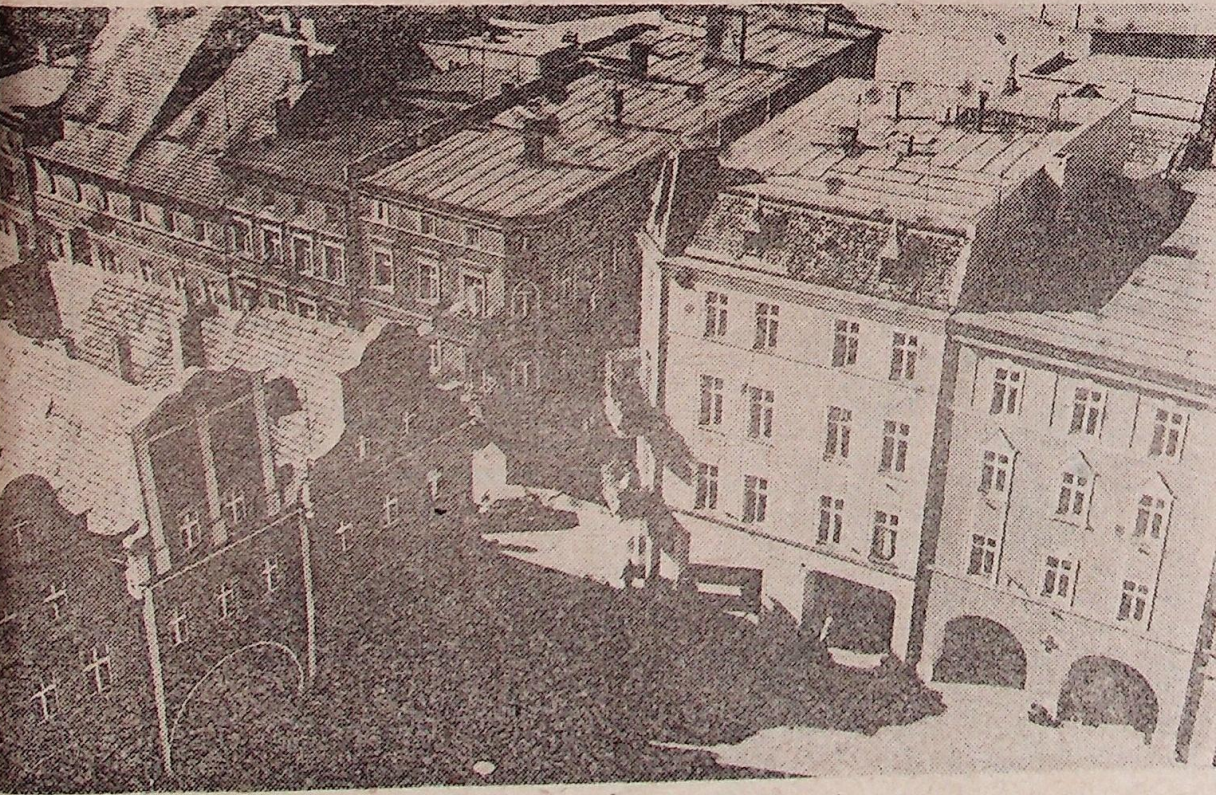
— Największym osiągnięciem
„Kuźni” w ostatnich latach jest
wejście jej wyrobów — odkuwek —
na rynki dewizowe. Sprzedajemy
swoją produkcję prawie w całej za-
chodniej Europie. Powiodło się nam
w sprawach nieprodukcyjnych. Zbu-
dowaliśmy mieszkania. Uzbiliśmy
tereny pod domki jednorodzinne. Bu-
dujemy szpital. Dorobiliśmy się włas-
nego festiwalu filmowego — prze-
glądu twórczości filmowców-amato-
rów, pracujących w metalurgii. Co
nam się nie udało? W pełni zreali-
zować modernizację starej fabryki.



Jaworska „Pollen” słynie nie tylko z „Javoxu” i „Magdy”...

JAWOR

Tekst: GRZEGORZ CHMIELOWSKI
Zdjęcia: KRZYSZTOF RACZKOWIAK



W ostatnich latach wypiękniła jaworska Starówka.

Z WITOLDEM TURAJEM — lekarzem-psychiatrą rozmawia Grzegorz Chmielewski.

— Bardzo pan się denerwuje, gdy ktoś mówi, że wódka jest dla ludzi?

— Nie.

— To znaczy, że pan też tak uważa?

— Oczywiście.

— Jako człowiek zajmujący się zawodem zwalczaniem alkoholizmu?

— Zajmuję się pewnym wycinkiem tego problemu, mianowicie odwykowem.

— Jak to się dzieje, że jedni piją a inni nie?

— Trzeba by było przeanalizować czynniki, od których wzajemnego układu zależy wykształcenie się nałogu. Pierwszy to podmiot — człowiek ze swoimi kompleksami, przyzwyczajeniami. Nie nadaje już za szybko zmieniającą się kulturą, światem. Za tym co sam wyprodukował. Otoczenie dostarcza mu frustracji. Osoby bardziej zintegrowane wewnątrznie, z charakterem — jak to się określa potocznie — próbują zwalczać swoje frustracje w sposób społecznie bardziej akceptowany. Ludzie o słabszej osobowości, ambiwalentni — skłonni do przeciwstawnych zachowań — mają inne mechanizmy reakcji, obrony. Może to być na przykład ucieczka. Szukanie zapomnienia w alkoholu. Szukanie akceptacji w innym środowisku... Mechanizmy obronne człowieka osłabia ewolucja, która nastąpiła w sferze wartości. To, co kiedyś uznawano za moralne — dziś już nie jest uznawane. W świecie wartości jest chaos. To pogłębia zagubienie człowieka.

Przedmiot konstelacji wpływającej na powstanie nałogu to alkohol. Tu występuje w zasadzie constans. Trzeci czynnik to katalizator — środowisko. Wiadomo, że społeczeństwo to szereg grup formalnych i mniej formalnych, w miejscu pracy, w domu, koło przyjaciół. Grupy te rządzą się swoimi prawami. Są liderzy — ludzie ekspansywni, aktywni, często preferujący używanie alkoholu. Mają swoich popleczników nadających ton, tworzących obowiązujące normy. Kto ma inny system wartości — pozostaje obok. A przecież wszyscy chcemy być zaakceptowanymi członkami społeczeństwa...

— Dochodzimy więc do wniosku, że wzorce kulturowe sprzyjające spożywaniu alkoholu są bardzo rozpowszechnione?

— A czy tak nie jest?

— Na czym więc powinno polegać w tej sytuacji leczenie nałogu?

— Właśnie na odwracaniu mechanizmu tych nacisków. Trzeba stworzyć alkoholikowi takie środowisko, w którym byłby zaakceptowany i jednocześnie nie zmuszany do picia. Spore doświadczenia mają tutaj Anglosasi, Jugosłowianie, trochę i my. Myślę o tzw. klubach anonimowych alkoholików. Są to grupy ludzi, którzy kiedyś pili, a teraz popierają abstynencję. Jeżeli ktoś „wyskoczy”, zacznie pić — znajdzie się poza grupą. Alkoholizm leczy się też terapią grupową, indywidualną i psychoterapią. Ale wychować „na nowo” człowieka 20-, 30- czy 50-letniego nie jest łatwo.

— Czy poglądy na alkoholizm i metody jego leczenia zmieniają się?

— Oczywiście. Jeszcze niedawno nie uważano tego nałogu za chorobę. Nawet teraz jest wielu oponentów...

— Mówiliśmy o alkoholu, jako o stałym czynniku w układzie przyczyn i warunków powstawania nałogu. A przecież można też i na niego wpływać, np. poprzez administracyjne ograniczenia dostępu do wódki, wina itd. Zakazy spowodowały prawdopodobnie, że WSS nie wykonuje w tym roku planu sprzedaży alkoholu...

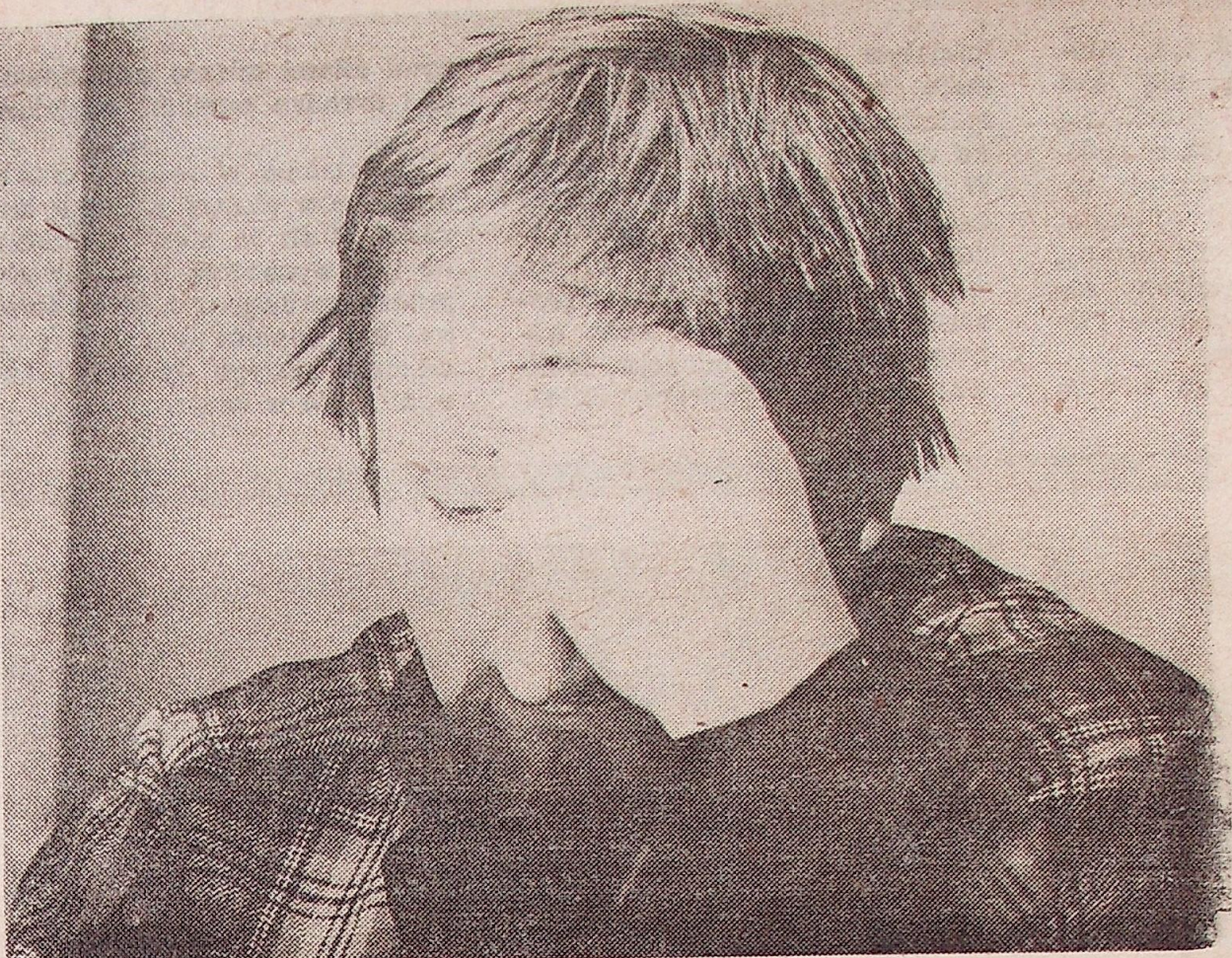
— Trzeba to nazwać patologią, pomyłką, że na ocenę pracy handlu wpływają wyniki z obrotu w tym dziale?

— Wódka to jednak towar!

— Tak, ale przecież chcemy totalnie walczyć z alkoholizmem. Potrzebna jest więc integracja. Nie powinno być tak, że jedne instytucje sobie, a inne sobie...

— Po tej dygresji powróćmy do tematu: czym się objawia alkoholizm?

— Wymienię najpowszechniejsze symptomy. Utrata kontroli, po pewnej dawce alkoholu, nad pić. Fieć w ciągach — ktoś nie pije nawet miesiąc, a potem spożywa alkohol przez kilka dni, tydzień i dłużej. Tzw. zespół abstynencyjny. Nie jest to tylko popularny kac, będący naturalną reakcją organizmu na zatrucie alkoholowe. Jest to również potrzeba ponownego spożycia alkoholu, przymus picia. W pierwszym okresie alkoholizmu człowiek zauważa, że jego możliwości wypicia wzrastają. Rośnie tolerancja orga-



GŁĘBOKO I NIEBEZPIECZNIE

nizmu na alkohol. Później następuje gwałtowne zatamowanie się tej krzywej i do upicia się potrzeba coraz mniej alkoholu.

— Więc alkohol jest chorobą, nieszczęściem... Postawy wobec pijanych są różne. Od przesadnej litości do określenia typu bydlak, zwierzę, pijak itd. Od bezkrytycznej tolerancji do zupełnej pogardy...

— To, że ktoś jest pijany, zależy od wielu czynników. Nie tylko od niego. On się nie dopasował do społeczeństwa. Może inaczej — dopasował się, ale nie do tych, co trzeba.

— Pijemy najwięcej wódki, alkoholu wysokoprocentowego, który działa na centralny układ nerwowy. Co z tego wynika?

— Zwyródnienie komórek mózgowych i zaniki mózgowie. Za tym idzie szereg zmian psychicznych. Delirium alkoholowe objawiające się m.in. w formie iluzji i halucynacji. Halucynozą alkoholową. Najczęściej choroby te wiążą się z kolejnymi stresami i stanami zaburzenia świadomości. Dorosły człowiek potrzebuje kilku lat, by wykształcić w sobie nałóg. Jego organizm, osobowość są bardziej odporne na działanie alkoholu. Niestety, wzrasta ilość pijących wśród młodzieży i spada granica wieku spożywających alkohol. Tu nie trzeba na nałóg czekać wielu lat... Mówi się, że jest obecnie w Polsce około 900 tys. osób z wykształconym nałogiem alkoholowym. Ludzi pijących jest znacznie więcej.

— Jest to nasz problem narodowy. Minęła 20 rocznica istnienia ustawy przeciwalkoholowej, wydanej 19 grudnia 1959 roku. Mówi się w niej o wielu sposobach zwalczania alkoholizmu. Władze administracyjne zobowiązano do konkretnych działań. O skuteczności tej ustawy świadczą statystyki wypijanego przez nas alkoholu...

— Ustawa spełniła oczekiwania społeczne w tym sensie, że unormowała zasady i przebieg leczenia alkoholików. Nie sprawdziła się, jeżeli chodzi o efekty.

— Jak medycyna walczy z alkoholizmem w Legnicy?

— Jest Przychodnia Odwykowa, w której obecnie leczy się 600 osób.

— Ilu lekarzy ich leczy?

— Ja i pielęgniarka.

— Czy uważa pan, że to wystarczy?

— Moi przełożeni znają problem...

— Czy w naszym województwie jest szpital odwykowy?

— Dotąd nie było i chorych kierowaliśmy do Lubiąża. Teraz będzie otwarty oddział odwykowy w Złotoryi. Dlatego, z braku miejsc, na przyjęcie do szpitala trzeba było czekać nawet pół roku. Tyle czekali alkoholicy skierowani na leczenie przymusowe.

— A osoby, chcące leczyć się dobrowolnie?

— Nie mają praktycznie szans na miejsce w szpitalu. Ale można się leczyć ambulatoryjnie. Połowa pacjentów przychodzi tu dobrowolnie.

— Jak można trafić do Przychodni Odwykowej?

— Dobrowolnie, i w tych przypadkach szansa na wyleczenie jest największa. Przez orzeczenie komisji społeczno-lekarskiej zobowiązuje do leczenia i wyrokiem sądu, nakazującym leczenie przymusowe. Tu skuteczność jest o wiele mniejsza. Po prostu jeżeli ktoś się leczy, bo musi, to efekty są nikłe.

— Co to znaczy wyleczyć się z alkoholizmu?

— Kryteria oceny są różne. Kiedyś uważano za wyleczonego z nałogu pacjenta, który zostawał idealnym abstynentem. Ale często, po kilku latach abstynencji nałóg może powrócić nawet po wypiciu małej dawki alkoholu. Bardziej adekwatnym kryterium jest ocena społecznego funkcjonowania pacjenta. Jeżeli po leczeniu pije o wiele rzadziej, podjął pracę, uporządkował swoje sprawy rodzinne, jest normalnym członkiem społeczeństwa — to wtedy można mówić o wyleczeniu. Dla celów statystycznych za wyleczonych uważa się tych, którzy utrzymują abstynencję przez dwa lata. Według tego kryterium wyleczonych zostaje 50—70 proc. alkoholików. Ale jest to szacunek zbyt optymistyczny...

— Pracuje pan w Legnicy od trzech lat. Czy wzrost alkoholizmu odczuwa pan jako osobistą porażkę?

— Jest to dla mnie porażka, jako dla członka społeczeństwa w którym ten problem istnieje. Tak jak wszyscy, ponoszę za to w pewnym stopniu odpowiedzialność.

— Kto pomaga panu leczyć alkoholików?

— Rodzina. Bo pacjentem nie jest przecież pojedynczy człowiek, ale cały otaczający go krąg. Cieszy mnie, gdy ten człowiek przychodzi na leczenie z żoną, z ludźmi bliskimi. Widzę, że chcą mu pomóc.

— Kto przeszkadza?

— Na przykład zakład pracy, który zwalnia nałogowca. Przeważa tu racja ekonomiczna. A to przecież jeszcze bardziej pogłębia kryzys, powoduje nowe stresy, odrywa alkoholika od środowiska, które właśnie powinno mu pomóc...

— Ma pan receptę na spożywanie alkoholu?

— Nie. Nie ma takiej recepty. Ile można wypić — to zależy od indywidualnych predyspozycji. Są osoby, które dość sporo piją i nie czynią krzywdy ani sobie, ani społeczeństwu. A'e najlepiej niech pan wykropkuje tę odpowiedź. Alkohol ma w sobie coś z głębokiej wody. Jest niebezpieczny i wciąż...

— Dziękuję za rozmowę.

O psach można śpiewać. Celowała w tym swojego czasu Urszula Sipińska, stwierdzając, że i ją można w końcu polubić, ale tylko razem z psem. „Mały, biały pies” śnił się na opolskiej estradzie Bogusławowi Mecowi (a jeszcze kilka lat wcześniej zarzekał się na „Jego portret”, oczywiście kobiety!). Podśpiewywali harcerze, a z nimi cała Polska, gdy z telewizyjnych ekranów spoglądała zziębnięta morda sympatycznego Szarika.

PIES-AKTOR pojawił się na celuloidowej taśmie niezliczoną ilość razy. Pies-żołnierz walczył w każdej armii. Był pies-bohater literacki. Jest pies-ratownik górski, przewodnik niewidomych, opiekun niemowląt lub owiec. A w końcu pies-przyjaciel człowieka.

Ma on z reguły swoje przytulne legowisko, odpowiednią kęs z kuchni i chwilę w życiu domowników zarezerwowaną na spacer. Żyje się mu przeważnie nieźle. U jednych lepiej, u innych gorzej. Tak jak i panom. Z reguły... Bo są też wyjątki. Psy-wyjątki nie mają własnych misek i bud. Wałęsają się po podwórkach. Na obiad zbiegają w okolice śmietników. Noc zastaje ich na klatkach schodowych, w piwnicach, rumowiskach, czy po prostu na ulicy. Są też na swój sposób znane. Bo powszechnie ścigane podejrzeniem przechodniów o wściekliwość. Trafiają czasem do gazetowej rubryki „Zgubiono”. Są powodem alarmujących notatek miejskich reporterów.

Swoją sforę bezdomnych psów ma prawie każda podmiejska ulica. Czasem groźną, hałaśliwą i uparcie powracającą do tych samych bram. Zawsze opuszczoną przez ludzi...

Kiedyś lekarstwem na bezdomne psy był rakarski wóz. Często rozwiązywały problem koła samochodów lub kij przechodnia. W Legnicy rakarni nie ma już od kilku lat. Bezdomne psy pozostały.

Z „jedynki” lub „piętnastki” trzeba wysiąść na przedostatnim przystanku. Na wprost ukaże się błotnista i mocno poryta koleinami droga. Ulica Ceglana. Wśród galerii starych drzew, wązkiem otoczonym działkami hutników i Laskiem Złotoryjskim dochodzi się do sporej doliny. Za ostatnimi zarośniętymi lasku dziwna posesja.

Wzdłuż drogi stoi podłużny, białe wymalowany barak. Obok, prostopadłe — parterowy budynek. Też pociągły i biały. Pani Łucja mówi, że kto rezygnuje ze swojego przyjaciela — przyprowadza go tutaj. Przepisy pozwalają po czternastu dniach dokonać zabiegu uspienia...

Gdyby na małej, zielonej tabliczce, informującej, że oto tu, na ul. Ceglanej mieści się Schronisko dla Bezdomnych Zwierząt znalazło się miejsce na jakieś hasło, a jego lokatorzy umieli czytać — nie wchodziliby tak nieufnie drucianą bramą.

— Chcemy im uratować życie — powie pani Łucja Gowkielewicz, od sześciu miesięcy kierowniczka schroniska. Do czternastu dni mieszkańcy boksów żyją na koszt miasta. Później można z nimi skończyć, ale tutaj takie rzeczy się nie zdarzają. Schroniskowy lekarz usypia, oczywiście, pieski, lecz strzykawkę traktuje jako humanitarny instrument eliminacji istnień zniszczonych chorobą, starych, kalekich, a nie jako sposób na rozwiązanie problemu porzuconych Reksów i Azorków...

Schronisko czynne jest od półtora roku. Gdy zaczyna się ruja — boksy zapelniają się rozszekkanym towarzystwem. Latem było tu średnio sześćdziesiąt psów miesięcznie. Najczęściej przyprowadzają je dzieci. Skąd? Z ulicy.

— Ale właściwie to nie ma psów niczyich! — stwierdza pani Łucja. Łatwo można je złapać. Nie gryzą. Są nieporadne, jakieś za-

gubione, przestraszone. Po kilka dni nie jedzą. One po prostu wyszły z domu i nie wróciły. Bardzo często, po kilku dniach zgłaszają się właściciele. Lecz nie wszystkie psy chcą wracać do swoich panów...

Tu nie ma komfortu. Na dobrą sprawę dzisiejsze schronisko to jedynie piętnaście boksów z budami, miskami i wybiegami, kotły do przyrządzania jedzenia i barokowy, spełniający wszystkie funkcje administracyjne oraz mieszczący mały magazyn żywności. Mimo tej ciasnoty już w tym roku pani Łucja przyjmowała psy „na hotel”. Bo przecież nie wszyscy mają gdzie zostawić czworonoga, gdy cała rodzina wybiera się nad morze. Psi hotel jest tani. Osiemnaście złotych dziennie za dużego psa, mniej za szczeniaki i małe.

PIESKA SPRAWA



Zdjęcia: Waldemar Sikorski



Schronisko z prawdziwego zdarzenia będzie już niedługo. Gdy pani Łucja objęła gospodarstwo przy Ceglanej — zastanowił ją budynek na terenie posesji. W stanie surowym, niewykończony, z kłatkami wewnętrznymi, wybiegami, pomieszczeniami dla kuchni, administracji, obsługi... Nowa kierowniczka zainteresowała się tym „zabytkiem”. Okazało się, że nowe schronisko buduje „Budomont”. A właściwie ma budować. Pod koniec listopada roboty były w pełnym toku. Złożono już centralne ogrzewanie, wodę i elektryczność. Obok kopano szambo. Pani Łucja przywiozła z Warszawy obietnice dodatkowych etatów. Już od początku przyszłego roku. Teraz pieskami opiekuje się pielęgniarz, kierowniczka, weterynarz. Personel trzeba będzie podwoić, bo schronisko stanie się instytucją w pełni usługową.

— Będziemy tu mieć około 150 psów. Nie chcemy ich trzymać wiecznie. Potrzebna będzie dobra reklama schroniska, bo nie wszyscy legniczanie wiedzą, że taka instytucja w ogóle w naszym mieście istnieje. Kupują psy na aukcjach we Wrocławiu, Wałbrzychu, a tymczasem nasze czekają na potencjalnych właścicieli... — mówi pani Łucja.

„Psia” reklama ruszyła już w październiku. Wyniki okazały się rewelacyjne. Kupiono połowę z pięćdziesiątki pensjonariuszy schroniska. Być może zachęcała niska cena — 70 zł. Nikt jednak nie zaprzeczy, że psiki były naprawdę ładne i to w wielu przypadkach zadecydowało... Legnicka aukcja, dobrze rozpropagowana, zachęciła nawet mieszkańców odległych miast. Nie wyjechali stąd z pustymi rękami.

Nowe schronisko będzie przystanią dla zagubionych i bezdomnych zwierząt, a także „psim hotelem”. Każdy pensjonariusz będzie miał swoją kartotekę. Po przyjeździe — zostanie zbadany przez lekarza. Odczeka kwarantannę w izolacji i dopiero wtedy przestąpi progi eleganckich boksów, ogrzewanych centralnie. Co jakiś czas skorzysta, przy pomocy pielęgniarza, z łazienki. Punktualnie otrzyma pełną miskę ze schroniskowej kuchni, gdzie będą mu gotowali w parniku elektrycznym, a gdy wyłączą prąd — w węglowym. W razie dolegliwości jego zdrowiem zajmie się lekarz. Schroniskowy samochód na czas dowiezie odpadki z rzeźni, stare makarony i kasze, a także deputatowe przydziały psich smakolek. Schroniskowy samochód przywiezie też kolegów z legnickich ulic, wałęsających się i szukających guza w miejskim tłoku. Tak będzie w nowym schronisku.

Pani Łucja mówi, że psy trzeba umieć kochać. Trzeba umieć znaleźć złoty środek między troskliwością wprost ojcowską, a surowością i terrorem. Psu nie jest potrzebna poduszeczka, kocyk, kotlet. Ma on jednak prawo do dachu nad głową, wody i pożywienia dwa razy dziennie.

ALE CZY NAWET najlepiej wyposażone schronisko rozwiąże problem bezdomnych psów? Czy schronisko może przejąć obowiązki wszystkich bezmyślnych właścicieli czworonożnych istot? Jest wiele sposobów rozumnej i humanitarnej kontroli ilości psów. Nie ma jednak usprawiedliwienia dla wyrzucających zwierzęta po prostu za drzwi. Nawet, jeżeli jedynym tego świadkiem jest pies...

MAREK GRZESKI

Obrazowo rzecz przedstawiając, wygląda to tak: nagle, bez żadnych wyczuwalnych ludzkim zmysłem znaków ostrzegawczych, następuje eksplozja skały. Straszliwy huk i w jednym momencie wyrzucony straszliwą siłą ocios wypełnia skalnym rumowiskiem górnicze wyrobisko. Takie zjawisko nazywa się tąpnięciem i jest ono obecnie najpoważniejszym naturalnym zagrożeniem bezpieczeństwa pracy górników.

ZAPOBIEC TĄPNIECIU

ZŁOŻONOŚĆ i niezwykle skomplikowany charakter zjawiska powoduje, iż więcej w odniesieniu do niego istnieje jeszcze pytań, wątpliwości i nieświadomości, niż pewnych stwierdzeń. Nawet w definicjach są rozbieżności — co najlepiej świadczy o etapie poznania.

Najpełniejsza i najnowsza została podana w czerwcu bieżącego roku przez grupę roboczą do spraw tąpnięć Międzynarodowego Biura Mechaniki Górniczej: „Tąpnięcie jest kruchym pęknięciem znajdującym się w krytycznym stanie naprężenia części pokładu węgla (skały) przylegającej do wyrobiska górniczego, powstającym w warunkach, kiedy prędkość uwalniania się energii przewyższa graniczną prędkość rozpraszania energii wskutek odkształceń nieodwracalnych. W tąpnięciach uczestniczy energia sprężysta pokładu węgla (skały) w ognisku pęknięcia i energia skał otaczających. Tąpnięciu towarzyszy silny dźwięk, wyrzut węgla (skały), zniszczenie obudowy, maszyn, urządzeń, tworzenie się pyłu i fali powietrznej. Sprężyste rozszerzenie się górotworu przylegającego do ogniska pęknięcia rodzi fale sejsmiczne rozprzestrzeniające się przy silnym tąpnięciu na dziesiątki i setki kilometrów”.

Definicja powyższa nawet największemu laikowi uświadomi, z jakimi siłami mamy do czynienia i że w tej batalii o bezpieczeństwo pracy, przeciwnikiem człowieka jest po prostu natura. Prowadząc wszak działalność górniczą naruszamy panujący w górotworze system równowagi, do którego z kolei — zgodnie z żelaznymi prawami fizyki — dąży z powrotem górotwór. Jest to oczywiste, a fakt istnienia na świecie tysięcy kopalń dowodzi, iż można żyć w zgodzie z tymi prawami. Nie one też są — wbrew powszechnej opinii — głównym źródłem niebezpieczeństw pracy na dole. W statystykach wypadków najliczniejszą grupę stanowią te spowodowane nieprzestrzeganiem przepisów o bezpieczeństwie pracy, ogólnie mówiąc. Inna sprawa, że tych przepisów bezwzględnie koniecznych jest w kopalni dużo więcej, niż w jakimkolwiek innym zakładzie oraz dużo poważniejsze konsekwencje wynikają z uchybienia im. Charakter pracy górniczej stwarza największą ilość potencjalnych zagrożeń, natura natomiast stwarza zagrożenia najpoważniejsze. W kopalniach zagiębia miedziowego, gdzie nie ma gazów, czy samozapalających się pokładów — groźby w węglu — jedynymi zagrożeniami naturalnymi są zawał i tąpnięcie. Lecz zawał, zanim nastąpi — potrafi górnika ostrzec (nie mówiąc już o tym, że niekontrolowane zawały, zupełnie nieprzewidywane, zdarzają się już niezmiernie rzadko, dzięki poznaniu zjawiska i opracowaniu dokładnych metod jego przewidywania i zapobiegania zagrożeniu). Pozostają więc tąpnięcia.

Tutaj ludzie i nauka stoją przed niezmierznie złożonym zagadnieniem. Aby to zrozumieć, wypada jednak bliżej objaśnić samo zjawisko, bowiem definicja, którą przytoczyłem, nieprzygotowanemu czytelnikowi niewiele da. Myślę więc, że fachowcy mi wybaczą, iż posłużę się przykładem. Wyobraźmy sobie dwie kulki połączone jakimś wiązaniem i że pomiędzy kulkami jest powiadzmy, sprężyna. Wyobraźmy sobie dalej, że jest to wyjątkowo mocne wiązanie, w związku z czym musimy — chcąc je zerwać — przyłożyć wyjątkowo mocną sprężynę. I teraz wyobraźmy sobie, co się stanie, kiedy już ta wyjątkowo mocna sprężyna zerwie wiązanie. Skała zaś jest niczym innym, jak niezliczoną ilością takich elementów powiązanych ze sobą lepiszczem. Rolę sprężyny spełnia tu energia wywołana przez górotwór. Jest to oczywiście niewiarygodnie wielka energia i w chwili gdy przewyższy ona siłę wiązania lepiszcza, skała staje się w jednym momencie luźnym zbiorem cząsteczek wyrzuconych z tą właśnie olbrzymią energią. Wyrzuconych w jednym możliwym kierunku — w pustą przestrzeń wyrobiska.

Wyraznie teraz widać, iż moc tąpnięcia zależy w największym stopniu od wytrzymałości skały — im większa, tym więcej potrafi zgromadzić w sobie energii. W ten sposób — możliwie najogólniej — opisałyśmy pierwszy podstawowy problem, na jaki natknęli się badacze zjawiska. Chodzi

o określenie i pomiarzenie tej energii. Gdyby szło jedynie o energię graniczną, to jest tę, której przekroczenie wywołuje tąpnięcie — można by liczyć na szybkie powodzenie. Rzecz jednak w tym, iż nawet określenie granicznych wartości naprężeń niczego jeszcze nie daje, jeżeli nie potrafimy na bieżąco mierzyć skumulowanej w interesującej nas części górotworu energii. Sprawa zaś zupełnie się skomplikuje, kiedy uświadomimy sobie, iż przyczyny wytwarzania się energii to cały łańcuch wzajemnych powiązań i zależności, które dopiero odkrywamy. Wpływa na występowanie tąpnięć głębokość prowadzenia eksploatacji, naturalna skłonność skał do tąpnięć, zaangażowanie tektoniczne górotworu, a także sposób prowadzenia eksploatacji: wybieranie ziela w pobliżu starych zrobów i pozostawianie nad wybraną przestrzenią zwiększonej warstwy skał stropowych. Załamanie się tej warstwy połączone z gwałtownym wyzwoleniem się energii, a więc wstrząsem, powoduje gwałtowne przyłożenie obciążenia na filary eksploatacyjne. Zostają w ten sposób stworzone warunki do wystąpienia tąpnięcia.

Pierwsze dwa silne wstrząsy w zagiębiu miedziowym zanotowano już w 1971 roku w kopalni „Lubin”. W następnym roku wystąpiły ponownie dwa wstrząsy, poprzedzające bardzo silny wstrząs (o energii $4 \times 4 \times 10^7$ J), który był pierwszym tego typu zjawiskiem w LGOM, odczuwalnym w wyrobiskach i na powierzchni. Od tego czasu też datuje się działalność badawcza i organizacyjna, mająca na celu zwalczanie zagrożenia tąpnięciami.

Natomiast pierwsze tąpnięcie miało miejsce w ZG „Lubin” 23 grudnia 1975 o godzinie 19.21. Wówczas to potężny wstrząs górotworu połączony był z tąpnięciem filara podporowego. Znane dotąd tylko w Górnośląskim Okręgu Węglowym, zjawisko to zaczęło zagrażać kopalniom miedzi. Inne jednak warunki geologiczne i eksploatacyjne sprawiły, że węglowe doświadczenia nie na wiele się miedzi przydały no i trzeba było od początku uczyć się, jak unikać niebezpieczeństwa.

W każdej kopalni działa zespół do spraw zwalczania tąpnięć i zawałów, są specjalne służby zajmujące się pomiarami, opracowywaniem bieżących wyników, profilaktyką, obudową itp. Na szczęble KGHM pracuje identycznej nazwy zespół. Od połowy tego roku działa też resortowa komisja do spraw tąpnięć przy Zjednoczeniu Górniczym i Hutnictwa Metali w Katowicach. Ogromne osiągnięcia w badaniu tego zjawiska ma Zespół Roboczy do spraw ciśnień górotworu przy Zespole Koordynacyjnym Wyż-

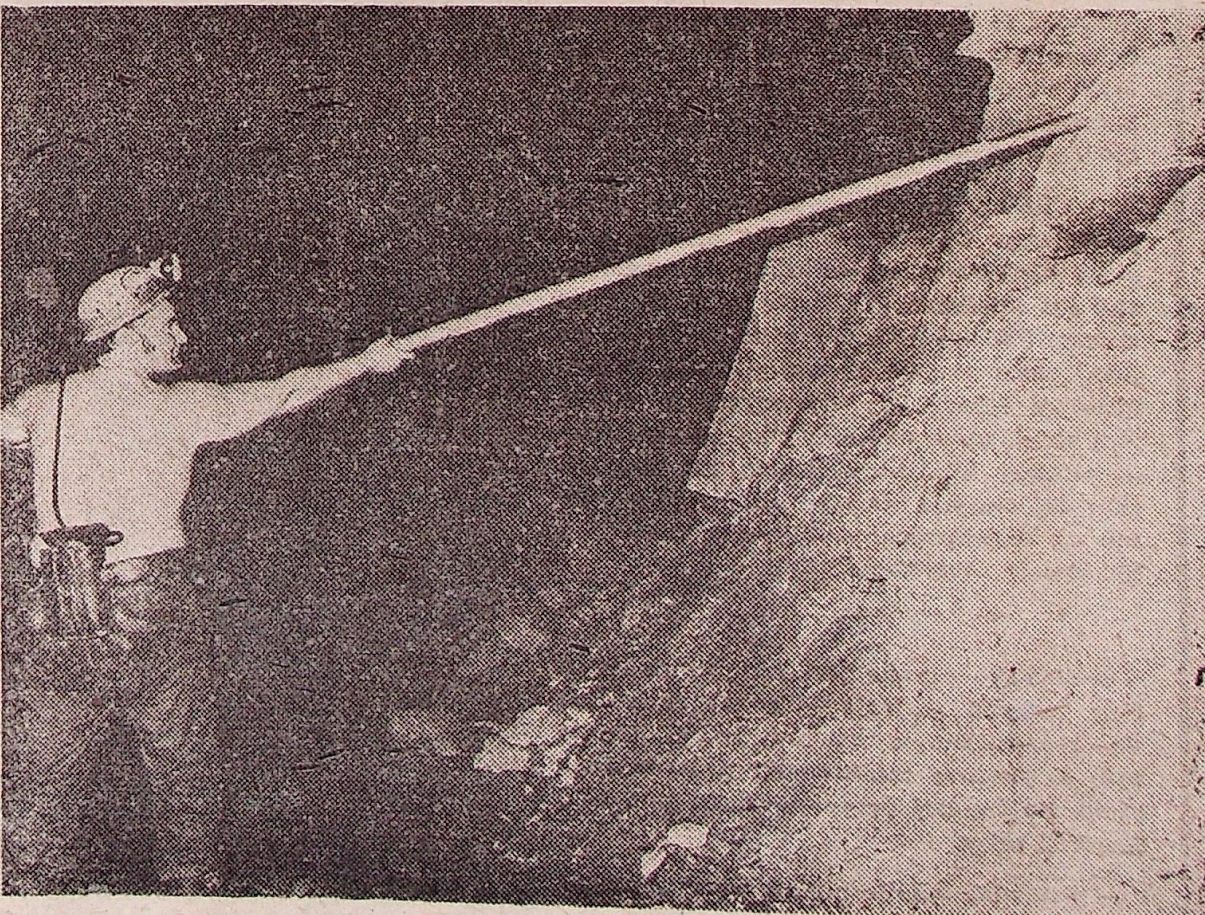
szego Urzędu Górniczego i Ministerstwa Hutnictwa, który niebawem zbierze się na swe 30 posiedzenie. Wymienione zespoły grupują największych w Polsce specjalistów od górnictwa, geomechaniki, geologii i specjalności pokrewnych. Na naszym terenie zagadnieniem tąpnięć zajmują się ponadto ZBiPM „Cuprum” we Wrocławiu i Zakład Doświadczalny KGHM w Lubinie. A więc robimy wszystko, aby zapewnić bezpieczeństwo na dole. Jaki jest efekt tych zabiegów?

Stan dzisiejszej wiedzy pozwala określić dość dokładnie miejsce, w którym nastąpi tąpnięcie; niestety, nie pozwala na określenie czasu jego wystąpienia. Tyle zdołaliśmy się przez te lata usilnych badań nauczyć. To dużo, zważywszy, iż jedyną metodą badawczą dostępną w tym wypadku jest obserwowanie i mierzenie wszystkiego, co tylko jesteśmy w stanie pomierzyć i obserwować, a następnie porównywanie otrzymanych wyników po każdym tąpnięciu. Systematycznie więc prowadzone są pomiary sejsmologiczne, pomiary konwergencji wyrobiska (to znaczy zmiany wzajemnego położenia spągu i stropu), naprężeń w filarach, a ostatnio także pomiary geoelektryczne. Mając wyniki tych pomiarów i znając warunki eksploatacyjne, w jakich występowały kolejne tąpnięcia, po każdym z nich — analizując ten złożony system układających się nawzajem przyczyn — bliżej jesteśmy całościowego opisu pracy górotworu pod wpływem działalności eksploatacyjnej. Bliżej chwili, kiedy prognozować będziemy nie tylko miejsce, ale i dokładny czas tąpnięcia.

Poznając przyczyny coraz skuteczniej można zapobiegać zagrożeniu. Chodzi tu głównie o zmiany sposobów prowadzenia eksploatacji konsekwentnie wprowadzane w naszych kopalniach. Stosujemy i sprawdzamy cały wachlarz coraz efektywniejszych technicznych metod zapobiegających koncentracji naprężeń. Niezależnie od tych działań profilaktycznych, wszelkie roboty strzałowe są wykonywane między zmianami pod nieobecność załogi w kopalni. Na oddziałach bardziej zagrożonych wprowadzono czasy wyczekiwania załogi na wejście po robotach strzałowych lub silnych wstrząsach.

CALA działalność badawczo-organizacyjna, twarda i uporczywa walka ludzkiego umysłu z przyrodą sprawiła, iż tąpnięcie — największa groźba w zagiębiu miedziowym — coraz mniej zagraża ludzkiemu bezpieczeństwu. A pewnie nadejdzie i taki dzień, kiedy przestanie zagrażać w ogóle...

KRZYSZTOF DĘBEK



Fot. Krzysztof Raczkowiak

Gdyby nie gwałt na 82-letniej kobiecie, sędzia Jerzy Wyspiański nigdy by się nie dowiedział, że Stach Pieniążek ma żal do Henka Strębickiego, iż ten w przeszłości zaprowadził go do poprawczaka, a teraz na salę rozpraw. Takie same pretensje mogliby mieć Jurek Wlazło, Rysiek Sygnet i Maniek Sowa, tylko, że — podobnie jak Pieniążka — do napadów nikt ich nie zmuszał. Natomiast oni sami przejawiali w tym względzie sporo inicjatywy.

AK doszło do tego, że wymieniona piątka znalazła się na sali rozpraw? Po kolei. W styczniu 1977 r. po czteroletnim pobycie w więzieniu, wychodzi na wolność Strębicki. Do pracy się nie spieszy, a pieniędzy nie ma. Postanawia więc je zdobyć. Przydałoby się jednak współnik. Najlepiej sprawdzony w przestępczym łachu. Tym kimś jest Stanisław Pieniążek. Znają się niemalże od dziecka. Razem też siedzieli w poprawczaku. Staszek zgadza się i już w marcu dokonują pierwszego włamania do prywatnej piekarni. Później zaczynają okradać samochody, sklepy, a nawet piwnice.

W październiku 1977 r., Strębicki odwiedza swego kolegę z więzienia — Jerzego Wlazła. Przy kieliszku do dochodzą do porozumienia, że „przydałoby się więcej pieniędzy”. Strębicki ma już gotowy plan ale do „roboty” potrzeba jeszcze jednego. Wlazło rozmawia więc ze swym szwagrem, również w przeszłości karany — Ryszardem Sygnetem. Tak powstaje banda Strębickich (dołącza się do nich później Marian Sowa). Dlaczego akurat Strębickich?

— Uznaliśmy — mówi sędzia sądu wojewódzkiego w Legnicy Jerzy Wyspiański — że jeżeli banda miała przywódcę, to był nim niewątpliwie Strębicki. To właśnie on, spośród wszystkich oskarżonych przejawiał największą inicjatywę w planowaniu kradzieży, włamań i napadów. Poza tym oboje, w jakim by składzie operowała banda, to prawie zawsze znalazł się tam Strębicki.

Byłem na jednej z rozpraw i przyjrzałem się dokładnie szefowi bandy. Wysoki, dobrze zbudowany. Wyróżniał się wśród współoskarżonych rozbieranymi oczyma i nerwowym wyrazem twarzy. Ale zeznał spokojnie, zwięźle i krótko. Zrównoważonym, beznamiętnym głosem opowiadał o napadach. Odniosłem wrażenie, że mówi jak uczeń deklamujący wiersz, ale nie rozumiejący jego treści. Że jedyna rzecz, z jakiej trochę zdawał sobie sprawę, to grozący wyrok. Dlatego w swych zeznaniach



Fot. Waldemar Sikorski

ski odczytuje więc złożone przez nią w domu zeznania:

„(...) Przystawili mi nóż do szyi i zażądali pieniędzy. Powiedziałam, że nie mam. Jeden z nich uderzył mnie wówczas w twarz. Krzyżeli i grozili mi nożem. Później rzucili mnie z łóżka i zaczęli pruć pierzynę, tapczan, wyrzucać rzeczy z szuflad i szafy. Co rusz, któryś przyskakiwał do mnie i przystawiając nóż do gardła, pytał gdzie mam pieniądze. Gdy niczego nie znalazli, ten wyższy (Pieniążek) podszedł do mnie (...)”.

zdaje się że wezmę je razem z głową... Uznałem, iż groźba jest całkiem realna, dlatego zacząłem bać się jeszcze bardziej, a naprawdę nie miałem więcej niż to co już znaleźli. Oni jednak nie uwierzyli. Jeden z nich znalazł paczkę „Marlboro”. — Popatrz, jakie papierosy pali — powiedział — a mów, że nie ma pieniędzy... Za tę paczkę dostałem znów progim po głowie i kilka razy w twarz... Gdy wychodzili, prosiłem, by zostawili mi przynajmniej zegarek z fosforującą tarczą. Był mało wartościowy, więc myślałem, że zgodzą się. Ale Strębicki zaśmiał się i wrzucił zegarek do sedesu, a

LUDZIE TO JESZCZE, CZY JUŻ DZIKIE BESTIE...

starł się w jak największym stopniu obciążyć kolegów. Tej samej metody próbował i wcześniej — w śledztwie. Zeznawał na przykład, że podczas napadu na Tadeusza Zawadzkiego nożem posługiwał się wyłącznie Wlazło, a włamanie do mieszkania Anny Kwiatkowskiej obmyślił Sygnet itd.

Ale instynkt samozachowawczy kierował również pozostałymi oskarżonymi. Choćby Sygnet w prośbie o zmianę aresztu na inny środek zabezpieczawczy, zeznał wszystko, co wiedział w sprawie napadu na Rafała G. i podał przyczyny dlaczego Strębicki chce go „wrobić” w ten napad. List ten, jako przykład sposobu, w jaki oskarżeni bronili się przed odpowiedzialnością, cytuję z zachowaniem charakterystycznych błędów:

„(...) brałem udział w podziale rzeczy pochodzących z przestępstwa. Dlatego oni (Strębicki i Wlazło — przyp. red.) chcą żebyśmy też odpowiadali, choć rzeczy, które otrzymałem były małą częścią, którą ukradli (...)”.

Słowem z listu wynika, że Sygnet nie powinien odpowiadać za udział w napadzie, bo nikogo nie pobił, nie okradł, a jedynie otrzymał trochę przedmiotów i w dodatku bardzo mało.

Proces Strębickich odbywał się przed Sądem Rejonowym i Wojewódzkim w Legnicy. W tym pierwszym rozpatrywano sprawę kradzieży i włamań. W drugim — gwałt i napady.

— Odniosłem wrażenie, że jest im całkowicie obojętne, jaki będzie końcowy wyrok — mówi sędzia sądu rejonowego, Wojciech Kociubiński. — W ogóle nie interesowało ich co się dzieje na sali, byli znużeni, apatyczni...

Podobnie zachowywali się w trakcie rozpraw o gwałt i rozboje, chociaż ich reakcje były niekiedy bardziej żywiołowe.

Sala nr 110 w sądzie jest wypełniona prawie po brzegi. Pod ścianą, na ławie oskarżonych w otoczeniu milicjantów, siedzą Pieniążek i Sowa. Zarzuca im się m. in. napad i zgwałcenie 82-letniej kobiety. Poszkodowanej nie ma na sali. Jest kaleką, nie mogła przybyć na rozprawę. Sędzia Wyspiański

— Pieniążek przykrył jej twarz zasłonką i rozebrał. Sam też się obnażył — zeznaje Sowa. — Zostaw, to wstrętne — powiedziałem i poszedłem do kuchni, bo nie mogłem na to patrzeć...

— Kłamiesz! — krzyczy wyrывая się z ławki Pieniążek. Powstrzymywany przez milicjantów, syczy do Sowy: — Popamiętasz ty...

Rozprawa trwa dalej. Zeznają kolejni świadkowie: m. in. sąsiadka, która słysząc hałas w mieszkaniu starszki, wezwała pogotowie MO. Zeznaje także Strębicki, który trafił do tego mieszkania noc później, bo widząc wybitą szybę myślał, że trafia się znakomita okazja do kradzieży (okazało się, że chciał to już zrobić znacznie wcześniej, razem z Pieniążkiem, lecz ktoś ich wtedy spłoszył) i wreszcie składa zeznania Pieniążek.

Jego linia obrony jest prosta. Tego dnia dużo wypił. Później ze Strębickim, Sową i Sygnetem poszli do jakiegoś mieszkania, gdzie usnął. Obudziła go dopiero milicja. — Nie przypominam sobie, by była tam jakakolwiek kobieta — podkreśla stanowczo.

Obronca sugeruje, że mogło to być upicie patologiczne, wykluczające winę. Jednakże biegli orzekają, iż Pieniążek gwałcił starszka, w pełni zdawał sobie sprawę z tego, co robi.

Jednym z ostatnich „wyczynów” Strębickich, był napad na Rafała G.

— Strębicki i Wlazło powiedzieli, że są z administracji — zeznaje poszkodowany.

— Gdy jeden z nich udawał, że ogląda urządzenie w łazience, drugi uderzył mnie w głowę i przyłożył mi do ust szmatę z jakimś płynem. Broniłem się, ale uległem. Gdy oprzytomniałem, byłem już przywiązany za ręce i nogi do krzesła. Wlazło stał nade mną z progim od podłogi w ręce, a drugi w tym czasie plądrował mieszkanie. Wlazło przykładał mi nóż do gardła, spytał gdzie mam złoto i dolary. Gdy powiedziałem, że nie mam, uderzył mnie deską w głowę. Nie pamiętam ile razy... Jeden do drugiego powiedział: Podobają mi się jego włosy,

następnie pociągnął za łańcuszek spłuczki. — Teraz weź go sobie — powiedział sztyderczo.

Ponad dwugodzinne znęcanie się nad Rafałem G. Strębicki skwitował lapidarnie: „stawiał się”. Jeszcze dosadniej określił to Wlazło: „wyrzłem go”. Nic więcej. Żadnego komentarza, żadnych emocji. Tak jakby bestialstwo można było porównać do codziennego golenia się.

Biegli psychiatrzy nie dopatryli się u oskarżonych jakiegokolwiek choroby psychicznej. Stwierdzono jedynie nieprawidłową osobowość ukształtowaną pod wpływem środowiska. Czyli, reasumując: to, co robili, było dla nich normalne. Mieściło się bowiem w ramach norm obowiązujących w środowisku przestępczym. Ale czy tam istnieją w ogóle jakieś normy? Przecież Strębicki nie miał litości nie tylko dla swoich ofiar. Bez skrupułów obciążał siebie nawzajem. Czy tacy, jak oni, są zdolni do jakiegokolwiek uczuć?

Zastanawiałem się w czasie procesu: czy są to jeszcze ludzie, czy już dzikie bestie? Ile brakowało, by do swej bogatej listy przestępstw (odpowiadali za 34 włamania, kradzieże i napady) dorzucili najcięższe — morderstwo. Historia bandy wskazuje bowiem na rosnący stopień jej rozszalałości. Najpierw były drobne kradzieże, później włamania i napady z bronią w rękę. Kto więc wie, jak by się wszystko skończyło, gdyby działali dłużej niż 7 miesięcy?

WSPOMNIAŁEM, że przez cały czas trwania procesu nie ich nie obchodziło, że byli im obce jakiegokolwiek uczucia. Ale wreszcie przyszedł moment, że coś w nich drgnęło i nieoczekiwanie dla wszystkich zaczęli błagać o litość. Ci, którzy nie mieli jej dla starszki i wielu innych, płakali jak bobry, gdy sędzia Jerzy Wyspiański odczytywał wyrok. Strębicki został skazany na karę trzynastu lat pozbawienia wolności, Wlazło — dziesięć, Pieniążek — dziewięć, Sygnet — siedem i Sowa — trzy. Możliwe, że wtedy zrozumieli...

ZBIGNIEW KRUPA

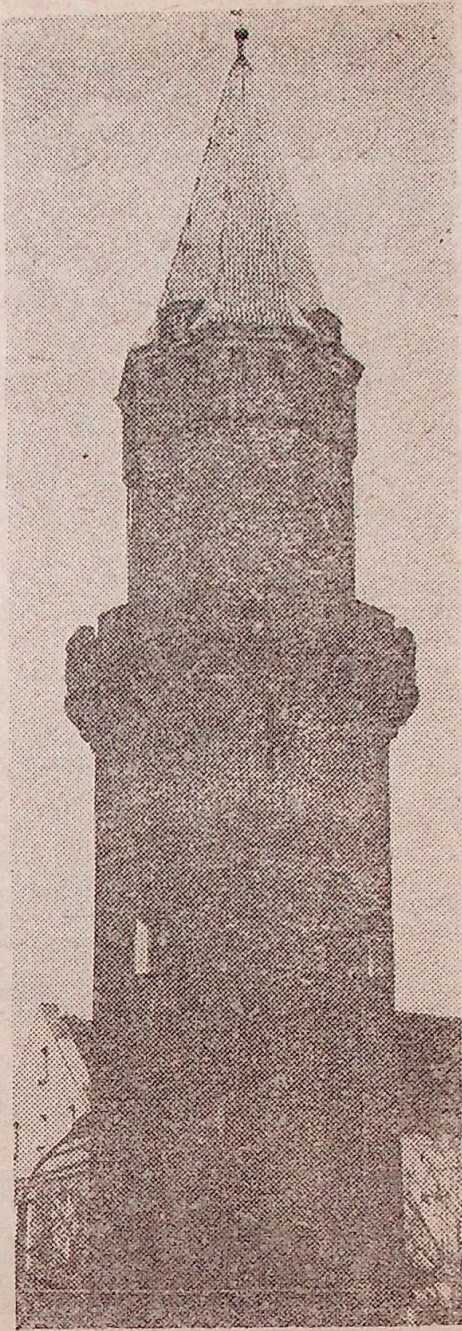
Mieści się w połowie wysokości wieży zamkowej Św. Jadwigi, w dolnej partii części nadbudowanej po 1416 r. Nazwa jej pochodzi z 1688 r. Jest na planie koła o promieniu pięciu metrów, z oknami z czterech stron, ma 7 m wysokości i sześciokątne sklepienie. Posiada naścienną polichromię — malowidło kolorowe, należące do najpiękniejszych na Śląsku, datowane na początek XVI w.

Rozważania estetyczne o wystroju tzw. Zielonej Komnaty Zamku Piastowskiego w Legnicy, z natury rzeczy muszą biec wielotorowo: w aspekcie społecznym, kulturowym, historycznym, artystycznym i analizy naukowej. W Europie, poczynając od XIII w. wraz ze wzrostem znaczenia rodów feudalnych, narasta potrzeba upiększania ich obronnych siedzib metodami bardziej świeckimi niż religijnymi. Motywów zdobniczych dostarczała poezja świecka, powstała w atmosferze środowisk dworskich, pielęgnujących enoty rycerskie. Ich źródłem stały się francuskie i niemieckie sagi z wcześniejszych okresów, stwarzające idealne postacie.

Tak zrodził się motyw Dziesięciu Bohaterów, pochodzący bardziej z literatury antycznej i eposów rycerskich niż ze źródeł religijnych. Dziesięciu bohaterów, uszeregowanych w trzy grupy: Hektor, Aleksander Macedoński, Juliusz Cezar, król Artur, Karol Wielki, Gotfryd de Bouillon; Jozue, Dawid, Juda Machabeusz, występuje w poemacie francuskim Jacques de Longuyon z około 1312 r.

W rozważaniach na temat komnaty jest rzut oka na Pragę. Ówczesny władca Czech Jan Luksemburek chętnie widział u siebie artystów przybywających z Italii i Francji. Długoletni sekretarz króla, wybitny poeta francuski Wilhelm de Machault oraz jego uczeń Eustachy Deschamps rozpowieścili, a następnie wzbogacili poczet dziesięciu bohaterów o dziewięć bohaterek. W malarstwie temat ten uwieczniony został w zamku neapolitańskim przez wybitnego nowatora malarstwa europejskiego — Giotto. Ważny jest też fakt, że podobne zdobienia znajdują się na zamku czeskim w Zvíkovie blisko Českich Budejovic. Naruszenie zasady dziesięciu bohaterów występo-

ZIELONA KOMNATA



W połowie wysokości wieży zamkowej Św. Jadwigi mieści się Zielona Komnata.

Fot. Waldemar Sikorski

wało sporadycznie, poczynając od XIV w. Na malowidle legnickim uwidoczniło: Dawida, Aleksandra Macedońskiego, króla Artura, Karola Wielkiego, Goliata, Chrystusa, Hektora, Cezara, Judo, Gotfryda de Vouillon, Dytrycha z Werna i prawdopodobnie Henryka Pobożnego. Czyli w sumie dwanaście postaci. Niestety, jeśli chodzi o postać Henryka Pobożnego jest to tylko domniemanie, uszkodzenie malowidła uniemożliwia pełną identyfikację.

Poza mało czytelnymi sylwetkami bohaterów, w trakcie prac konserwatorskich, wylania się pierwotne piękno dekoracji typowo świeckiej. Wić roślinna oplata wnętrze. Stanowi formę zamkniętej plecionki, która wyraża oasnowość jednocześnie tęsknotę człowieka do przyrody w porządku artystycznym. Nierealizm ujawnia uchwytne plastyczność i soczyste barwy zieleni. Wić tworzy pozorną altanę, stąd też wzięła się nazwa komnaty. Powiązanie motywów roślinnych z przedstawieniami figuralnymi, wypływa z dworskiej koncepcji widzenia świata. Zieleń soczysta uosabia życie, uśniewa — śmierć. Całość o cechach miniaturstwa nosi znamiona sztuki późnogotyckiej, o wysokim poziomie kolorystycznym i artystycznym.

Zielona komnata była prawdopodobnie pomieszczeniem osobistego użytku, miejscem wypoczynku dla księcia Fryderyka II, równocześnie belwederem. Wkomponowanie do płaszczyzny artystycznej plejady bohaterów, mogło wówczas oznaczać na przykład świadomość rodu książąt legnickich o ich związkach z monarchami polskimi, dynastiami panującymi w Europie, może też nawiązywać do pielgrzymki Fryderyka II do Ziemi Świętej.

Za kilka lat, po usunięciu uszkodzeń, powstałych w lutym 1945 r., w wyniku działań wojennych, zielona komnata zostanie udostępniona zwiedzającym. Obecnie prace konserwatorskie prowadzi z iście benedyktyńską cierpliwością artysta-konserwator Gizela Zborowska. Niestety, znaczna część malowideł nie zostanie zrekonstruowana.

BOLESŁAW JAŃSKI

1 grudnia mieszkańcy wyzwolonych ziem polskich mogli obejrzeć pierwszą relację filmową z najświeższych wydarzeń, tego bowiem dnia na ekrany kin weszło pierwsze wydanie Polskiej Kroniki Filmowej. Jej założnikami były kroniki Czołówki Filmowej WP. Od wielu lat redagowana jest w warszawskiej Wytwórni Filmów Dokumentalnych i ma dwa wydania tygodniowo: A i B.

6 grudnia w Lublinie zaczął działać Urząd Główny Prokuratury Generalnej KRP Instytucja prokuratury jako specjalnego organu państwowego, wykonującego funkcje oskarżycielskie, ukształtowała się na przełomie XVIII i XIX wieku. Przed wojną szefem prokuratury w Polsce był minister sprawiedliwości. Ustawą z 1950 roku wyodrębniono prokuraturę z Ministerstwa Sprawiedliwości i podporządkowano Radzie Państwa. Obecne zasady organizacyjne prokuratury reguluje ustawa z 1967 roku. Na czele prokuratury stoi prokurator generalny PRL.

12 grudnia ukazał się dekret o przejęciu przez państwo lasów prywatnych o powierzchni przekraczającej 25 ha.

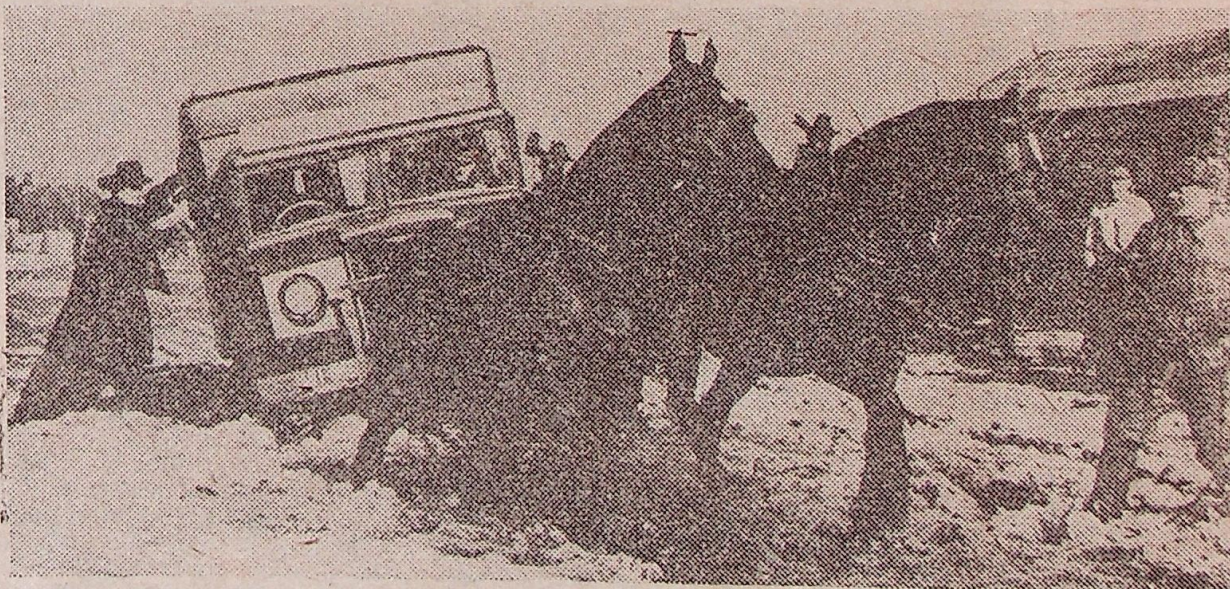
17 grudnia reaktywowano założoną w 1919 roku przez działaczy KPP Spółdzielnię Księgarską „Książka”. Wydawała głównie literaturę społeczno-polityczną i przekłady klasyków marksizmu-leninizmu. Zamknięta w 1929 r. przez władze, działała w latach 1931–37 jako „Tom”. Pod nazwą Spółdzielnia Wydawnicza „Książka” prowadziła działalność do roku 1948, kiedy to połączyła się z SW „Wiedza”. W 1973 roku jako SW „Książka i Wiedza” weszła w skład RSW „Prasa-Książka-Ruch”.

26 grudnia przybył do Lublina przedstawiciel Tymczasowego Rządu Republiki Francuskiej Ch. Fouchet, a do stolicy Francji udał się przedstawiciel PKWN Stefan Jędrzejowski. W 1945 roku był przedstawicielem naszego Rządu Tymczasowego w Paryżu.

30 grudnia reaktywowano Związek Harcerstwa Polskiego, który przejął chlubną tradycję „Szarych Szeregów”. Pierwszym po wojnie naczelnikiem harcerzy zostaje 10 stycznia 1945 roku Michał Sajkowski, a naczelnikiem harcererek — Kazimiera Świętochowska.

Gdy na zachód od Wisły panował jeszcze okupant hitlerowski, po jej stronie wschodniej tętniło już życie nowej, sprawiedliwej i niepodległej Polski. Powstawały organa władzy ludowej, rodziły się nowe placówki kulturalne i organizacje społeczne, upaństwowiano własność prywatną, ale jednocześnie szykowano się do wspólnego z radzieckim żołnierzem marszu na Berlin.

KARTKA Z KALENDARZA GRUDZIEŃ 1944



Takie były początki powstałej w 1944 roku Polskiej Kroniki Filmowej.

Fot. Archiwum

31 grudnia powstał Rząd Tymczasowy, utworzony w miejsce PKWN na mocy porozumienia między KC PPR i CKW FPS. Konferencja przedstawicieli obu partii na ten temat odbyła się 20 grudnia.

31 grudnia zakończyło się formowanie 2 Armii Wojska Polskiego, tworzonej od

połowy 1944 roku przez Karola Świerczewskiego z oddziałów AL, BCH i AK oraz ochotników i poborowych. W marcu 1945 roku 2 AWP liczyła około 90 tysięcy żołnierzy. Podporządkowana 1 Frontowi Ukraińskiemu, została przegrupowana na północ od Wrocławia.

Zejsście do doliny jeziora Begnas jest najbardziej malowniczym widokiem, jaki sobie można wyobrazić. Wokół — zielone góry, wysokie na około 2 tys. metrów. Na horyzoncie widnieją ośnieżone kolosy himalajskie: Machhapuchhre, grupa Annapurny, Pik 29, a w dole, 100 m nad poziomem morza — lustro jeziora i wijąca się meandrami rzeka. W dolinie — pola ryżowe. Zieleń młodego ryżu ma w sobie tak wielką świeżość i vitalność, że odbija jaskrawo nawet od zielonych wzgórz. Po zalanych wodą ryżowiskach brodzą białe ptaki i żerują na bagnie. Od czasu do czasu ciężko odbijają się od ziemi i unoszą się wysoko ponad góry. W locie, sylwetką przypominają mewy.

HIPPIESI I TYBETAŃCZYCY

(KORRESPONDENCJA WŁASNA)

W RYŻOWISKACH pracują grupy kobiet. Są ubrane jak wszystkie Nepalki w niezwykle jaskrawe stroje: amarantowe, niebieskie, żółte. Gdy obserwujemy je, schodząc z góry, wyglądają jak barwne kwiaty. Nepalki ubierają się w długie spódnice, czyli po prostu półtorametrowe kawałki materiału, którym opasuje się i końce wciska pod spodnią warstwę materii, do tego bluzka, czasem welurowa. Najczęściej każdy element składowy jest w bardzo jaskrawym i różnym od siebie kolorze. Europejki ubrane w stonowane barwy, przy czarnowłosych, śniadych dziewczynach wyglądają jak szare myszy...

Nadciągała burza. Nad doliną kłębiły się zwaly chmur, przerywane od czasu do czasu błyskawicami. Wszyscy spieszenie opuszczali pola. Schroniliśmy się w przydrożnej restauracyjce. Lunał deszcz i po chwili zamienił się w wielki grad, który przyniósł ze sobą znaczne ochłodzenie. Dla rozgrzewki zamówiliśmy miejscowy alkohol rakszi. Niestety, ciepławy, śmierdzący fuzlem samogon, miał niewiele rozgrzewających procentów, a drugi lyk był już niemożliwy do przelknięcia. Kulisi, choć zziębnięci, nie chcieli pić rakszi, tłumacząc, że nie pozwala im na to religia buddyjska.

Po typowej nepalskiej kolacji złożonej z roti — placków kukurydzianych smażonych na tłuszczu i daalbhaatu, czyli ryżu z sosem grochowym, układamy się na stołach do snu.

Wczesnym rankiem, razem z pierwszymi promieniami słońca, wkraczamy do Pokhary — rozległego, jednego z większych miast Nepalu. Ulice, po których lażą świny, kozy, kury, toną w błocie po wczorajszej ulewie. Na tybetańskiej świątyni, w której składano krwawą ofiarę z jagnięcia, wisi wielka reklama amerykańskich papierosów. Reklama jednak jest nepalska, nieudolna plastycznie, przyciąga wzrok swoją brzydotą. Po godzinie docieramy do centrum. Jest to jedna ulica oblepiona sklepikami, tutaj też jest poczta i policja. Rankiem jeżdżą tędy wózki z „prawdziwym angielskim chlebem z mechanicznej piekarni” jak głosi reklama. Chleb rzeczywiście przypomina naszą europejską bułkę pieczoną w formie. Jest to już powiew wielkiego świata. W centrum mieści się także targ owocowy i warzywny pełen barw i zapachów.

Obok targu obserwowałam sprzedawcę tytoniu z dwoma małymi synkami. O szóstej rano cała trójka już handlowała. Chłopcy usmarkani do pasa i pokaszający. Ojciec kupił im w sąsiedniej restauracyjce po placku, a kiedy zjedli i zarobili jeszcze kilka rupii, pozostawił rozłożoną plachtę z tytoniem i wagą na ulicy i gdzieś ich za ręce poprowadził. Wrócili niebawem. Dzieci niosły w rączkach leki firmy Pfizer. Był tam syrop, zestaw witamin i antybiotyków. Chłopcy rozsiadli się, turlali buteleczki po ziemi i popijali z nich dowolnie.

W rosnącym upale dotarliśmy do zespołu hoteli obok lotniska, gdzie zatrzymała się wyprawa zakopiańska. Czekali na nas. Spotkaliśmy tu także wyprawę z Jeieniej Góry, która samochodem zdążyła ku granicy indyjskiej. Niestety, pozostawili w górach trzech swoich uczestników, w tym kierownika wyprawy. Byli bardzo zmęczeni, kilka osób chorowało i wszyscy byli mocno rozdrażnieni. Wyprawa osiągnęła szczyt, ale jakże olbrzymim kosztem! Zakopiańscy też zdobyli o wiele trudniejszy, choć nieco niższy od Annapurny Pik 29, ale byli zdrowi i w dobrych humorach. Można to przypisać szczęściu, ale niemałą rolę odegrała też znakomita organizacja wyprawy i himalaistyczne doświadczenie jej kierownika Ryszarda Szafirskiego.

W hotelu „Himalaja” rozstajemy się z naszymi nieocenionymi kulisami. Nie chcę iść z nimi dalej. Trudno im się dziwić. Ubrania wiszą na nich w strzępach, są

brudne, a perspektywa wejścia na lodowiec na bosaka i bez ciepłych ubrań, nie jest zbyt zachęcająca. Zdażyliśmy się podczas tych dni wędrowki zaprzyjaźnić, dlatego rozstanie jest smutne.

Po odpoczynku wyruszamy nad jezioro Phewa. Jest to obecnie ulubione miejsce hippiesów. Nad samą wodą założyli swój camping, a wielu ich mieszka także w okolicznych loggiach (hotelikach). Wstrząsające wrażenie zrobiła na mnie hippieska z prześlicznym amorkowatym blond synkiem, żebrząca o banany dla dziecka. Ta młoda i piękna Włoszka wychudzona była na szkielet. Poznani nad jeziorem holenderscy historycy sztuki ostrzegali nas przed takimi hippi. Gdy zabraknie im pieniędzy na narkotyki, po prostu kradną. Okradają także siebie nawzajem.

Na wysokim kamiennym podejściu nad jeziorem stoi malownicza pagoda, święte miejsce hinduistów. Cały podest ocieniają olbrzymie rozłożyste drzewa. Przybywa tu wielu pielgrzymów. Widać kobiety w hinduskich sari. Na kamiennej platformie siedzi i leży wielu hippi. Grają na fujarkach smętne melodie, palą haszysz, trwają w stanie nirwany i czytają.

Tu po raz pierwszy w życiu zobaczyłam kołtun i to na głowie Amerykanina, który już od roku ma nieważny paszport i wizę. Jest w tym kraju szczęśliwość już na tyle długo, że jego rudawe włosy są poklejone strąkami kołtuna.

Po niezbyt budujących obserwacjach i orzeźwiającej kąpieli w jeziorze wracamy do naszego hotelu „Himalaja”. Prowadzą go uchodźcy z Tybetu. Na honorowym miejscu wisi w bufecie zdjęcie Dalaj Lamy. Cały hotel jest ozdobiony barwnymi, prymitywnym malarstwem przedstawiającym tybetańskie tradycje, polowania, wojowników i wydobywanie soli ze słonych jezior. Te malunki wykonuje syn właściciela hotelu, który jak nam mówił, bardzo tęskni za swoim Tybetem.

W Pokharze osiedliło się wielu Tybetańczyków, uszli oni przed Chińczykami, za

przywieziony kapitałik pozakładali restauracyjki, hoteliki, sklepiki. Biedniejsi handlują wyrobami rękodzieła, srebrem, sztuką sakralną. Swe kramiki zamykają w małej podręcznej torbie. Można ich spotkać wszędzie tam, gdzie liczą na spotkanie turystów lub pielgrzymów.

Na przedmieściach Pokhary leży duży obóz uchodźców tybetańskich. Wzdłuż całej drogi na plachtach rozłożone są przedmioty do sprzedania, czasem jest to tylko nędzny sznur paciorków zdjęty przed chwilą z szyi. U jednego ze sklepikarzy można kupić znaczki nielegalnej tybetańskiej poczty. Tędy wiedzie droga w stronę Annapurny.

Po drodze spotykamy liczne karawany mułów spieszące do Manangu po sól. Taka karawana jest niezwykle malownicza i głośna. Muły mają uprzęż ozdobioną lusterkami, świecidełkami, brząkałkami i dzwoneczkami, a nad głowami powiewają im czerwone kity z jaczaj wełny. Karawana składa się zwykle z 30 do 50 mułów. Właściciele mułów należą do bogatych warst społecznych. Mułnicy wiodący karawanę zawsze mają przez ramię przewieszoną torbę z radiem tranzystorowym, które brzęczy i charczy, nie słyszałam, aby jakieś dobrze grało, ale za to jest oznaką bogactwa.

Tak jak to było przed wiekami, sól dociera do Nepalu z Tybetu, przenoszona przez przełęcz Ninyan-Pass (4900 m) na grzbietach jaków i ludzi, potem w niższych partiach przerzucana jest na karawany mułów.

WĘDRUJĄC z pięcioma członkami wyprawy zakopiańskiej i nowo-wynajętymi kulisami przez wsie Naudanda i Bhiretanti, spostrzegamy po raz pierwszy, w tym przyjaznym kraju, pola i obejścia ogrodzone drutem kolczastym. Jest to jeszcze jeden wytwór cywilizacji, ale czy rzeczywiście tutaj najpotrzebniejszy?

ELŻBIETA POMORSKA



Czy rzeczywiście importowany drut kolczasty jest Nepalcowi najpotrzebniejszy?

Fot. Jan Malec

Kyokushinkai, sensaj, sempaj, kyu, dany — te skomplikowane nazwy wywodzą się z Dalekiego Wschodu. Pierwsza z nich oznacza bieguna prawdy, druga — nauczyciel, trzecia — starszy stopień, pozostałe to stopnie szkoleniowe i mistrzowskie, a wszystkie składają się na jedno określenie: KARATE. Co ono oznacza? W dokładnym tłumaczeniu: KARA — pusta, TE — ręka, a więc pusta ręka. Wyjaśnienie to oczywiście niewiele nam mówi. Zaczniemy więc od pytania: Co to jest rzeczywiście karate i skąd się ono wywodzi?

BIEGUN PRAWDY

JESZCZE w pradziejach ludzkości, poszczególne grupy na całym świecie stosowały rozmaite metody walki przypominające dzisiejsze karate, jednakże znana obecnie forma karate pochodzi ze Wschodu. Wyjaśnia to dokładnie Masutatsu Oyama — największy karateka (tak się tych ludzi nazywa) obecnego stulecia w swojej książce pt. „This is Karate” (To jest karate).

Karate — według tego cenionego fachowca — jest sztuką i filozofią walki, która rozwinęła się na przestrzeni wieków na Wschodzie. Szczególnie udoskonalili ją mieszkańcy wysp Ryukyu. W 1609 roku ród Shimazu z Kyushu zajął te wyspy i odebrał ich mieszkańcom wszelką broń. Bezbronni tubylcy zmuszeni byli przygotować się do walki wręcz. Dzięki pomysłowości wypracowali metody zdolne pokonać, bez użycia broni, wszelkie inne sposoby walki. Dlatego też i dzisiaj mieszkańcy Ryukyu uważani są za najlepszych praktyków na świecie, potrafiących skutecznie się bronić przed dominacją silniejszego przeciwnika.

Dzisiaj z pojęciem karate nikt ze znawców nie kojarzy walki. Jest to doskonałe ćwiczenie rekreacyjne, którego podstawowym celem jest rozwój charakteru. Toteż karate nie może być traktowane jako sztuka walki, lecz jako droga do samorozwoju, tak w fizycznym, jak i duchowym sensie, jako sposób doskonalenia własnego charakteru.

Karate — rodzaj szlachetnej rywalizacji bardzo szybko zyskał sobie olbrzymią popularność na całym świecie i dziś zajmują się nim milionowe rzesze ludzi. Karate trafiło do różnych krajów, a w roku 1968 zaczęło kiełkować w Polsce. Najpierw były kursy samoobrony organizowane w krakowskiej „Wiśle”. Z upływem czasu powstawały sekcje przy ZSP AGH w Krakowie, AZS SGPiS w Warszawie i AZS przy AGH w Krakowie. Potem ruszyła lawina nowych sekcji, m. in. w Szczecinie, Poznaniu, Wrocławiu, Radomiu i Gliwicach. Największą popularnością cieszył się i cieszy styl Kyokushinkai, który w 179 sekcjach uprawiany jest przez ponad 16 tysięcy osób. Istnieje jeszcze drugi styl — Shotokan (od nazwy budynku, w którym rozpoczęto go uprawiać), jednak nie cieszy on się w Polsce

zbyt dużym powodzeniem, gdyż zawiera za dużo elementów baletowych.

Karate trafiło również do zagłębia miedziowego. Jak do tego doszło, mówi jego prekursor na naszym terenie, obecny trener sekcji w Głogowie i konsultant pozostałych sekcji w województwie — Ryszard Szostak.

— Z inicjatywy Eufrozyny Kędzi — prezesa Ogniska TKKF „Nadodrze” — działającego przy Głogowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, we wrześniu 1977 roku powstała w Głogowie pierwsza w województwie sekcja karate Kyokushinkai. Po ogłoszeniu zapisów zgłosiło się ponad 250 osób w wieku 17—30 lat, różnej profesji i zainteresowań. Z uwagi na duże trudności z wynajmowaniem sali gimnastycznych przyjęliśmy początkowo tylko stu chętnych. Najpierw bacznie przyglądano się naszym poczynaniom. Niektórym wydawało się, że do sekcji należą ludzie pragnący nauczyć się określonych chwytów, aby wykorzystywać je potem w niezbyt szlachetnych celach. Szybko jednak zdobyliśmy sobie przychylność władz i społeczeństwa. Udostępniono nam sale SP 8, potem SP 2 i MDK. Dzięki temu mogliśmy przeprowadzić dodatkowe zapisy i przyjąć do sekcji następnych sto osób — mamy już w ten sposób 200 członków. a do wyróżniających się zaliczyć należy: Edwarda Kozdrę, Karola Bibrowicza, Jarosława Ryńca, Andrzeja Czerneckiego i Cezarego Kędzię. Nie ograniczamy się do samego prowadzenia zajęć. Daliśmy dotychczas 12 pokazów w Głogowie i innych ośrodkach województwa legnickiego, wystąpiliśmy z inicjatywą czynu społecznego na rzecz budowy Pomnika Dzieci Głogowskich, a każdy z naszych członków przepracował pięć godzin. W czerwcu ponad 350 osób zdało pierwsze egzaminy na stopnie szkoleniowe — kyu. Surowym egzaminatorem dla naszych podopiecznych i członków innych sekcji z okręgu zachodniego (Legnica, Zielona Góra, Gorzów, Poznań) był sensei Józef Pietras. Dzięki zrozumieniu i pomocy zwłaszcza pplk. Hieronima Kosiora udało nam się sprawnie przeprowadzić całe przedsięwzięcie. Latem tego roku, dzięki dużej pomocy Zarządu Województwa TKKF, zorganizowaliśmy pierwszy obóz szkoleniowo-wypoczynkowy w Sierakowie.

— Sekcja w Głogowie nie jest jedyną w województwie...

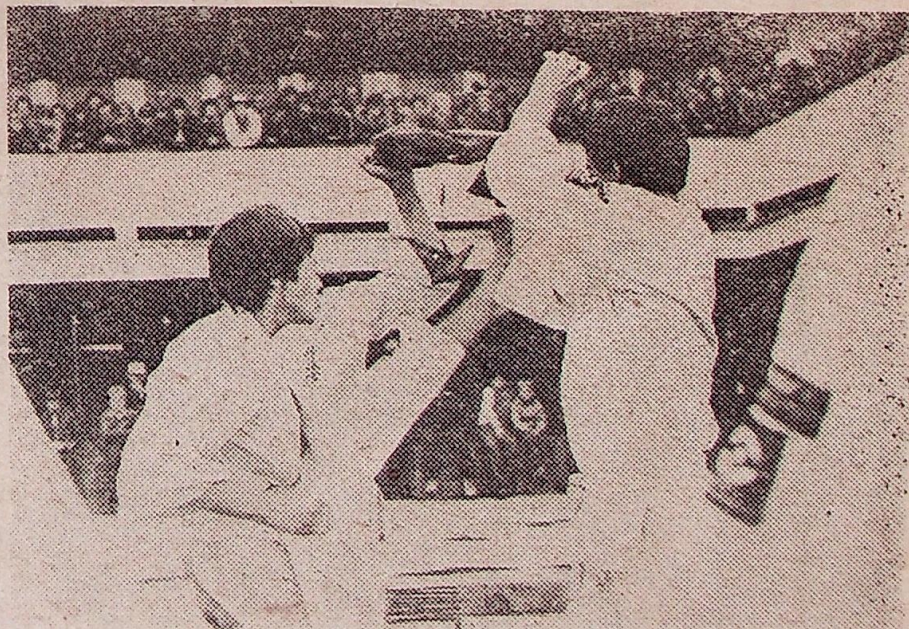
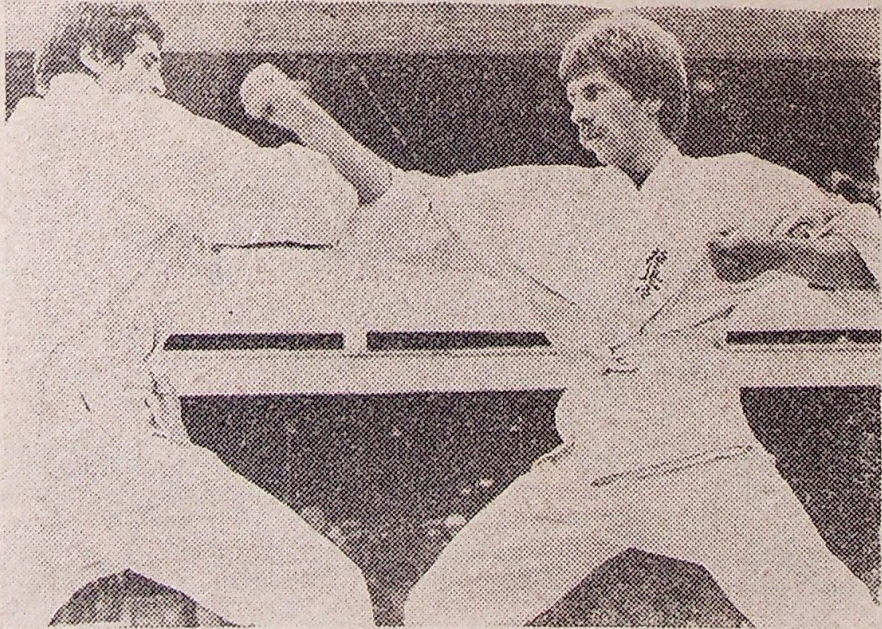
— We wrześniu powstały sekcje w Legnicy i Lubinie. Obie przy Wojewódzkim Uniwersytecie Robotniczym ZSMP i przy dużej pomocy jego dyrektora Stefana Welny. W Legnicy pod okiem Stanisława Kaczkowskiego ćwiczy 300 osób, a w Lubinie, gdzie zajęcia prowadzi Stanisław Sudoł — 140 osób. Ostatnio powstała też sekcja przy legnickim ognisku TKKF „Sokół”. Zajęcia z 40-osobową grupą prowadzone są w sali SP 19 w każdy poniedziałek i środę od godziny 20.00. Wtedy też instruktor Marek Kozak przyjmuje zapisy chętnych do uprawiania karate. Na tym nie koniec. W ostatnim czasie powstały dwie grupy w Zakładzie Energetycznym w Legnicy. Pierwsza z nich działa od kwietnia przy ognisku zakładowym TKKF i kieruje nią Ryszard Dobrowolski, druga (pracuje od września) przeznaczona jest dla młodzieży szkoły przyzakładowej a zajęcia prowadzi Andrzej Madej. Dobry przykład Głogowa jak widać zaowocował, powstają nowe sekcje, a karate zyskuje sobie w zagłębiu miedziowym coraz większą popularność. Postanowiliśmy w przyszłym roku zorganizować pierwsze mistrzostwa województwa oraz podjęliśmy się przeprowadzenia mistrzostw okręgu zachodniego.

— Bardzo często ludzie kojarzą karate ze sportem. Ile jest w tym prawdy.

— Z góry muszę niektórych rozczarować. Karate nie jest sportem, a tylko pewnego rodzaju sztuką z elementami rekreacyjnymi. Ludzie przychodzą do sekcji nie dlatego, że chcą być silni i wykorzystywać to w życiu codziennym. Chodzi im często o przezwyciężenie zmęczenia fizycznego i psychicznego, zyskanie sprawności fizycznej i uświadomienie sobie, że nie muszą bać się nawet siebie samych. Do sekcji trafiają różni ludzie, część z nich odpada, ale większość zostaje i wiąże się z karate na stałe.

— Istnieją tendencje, aby z karate zrobić sport wyczynowy, powołać Polski Związek Karate i oderwać nas od Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej. Jestem jednak przekonany, że nie uda się takie zamierzenie, gdyż sprzeciwiają się temu silne zwolenników obecnej formy kyokushinkai.

ZYGMUNT ŁUSZCZ



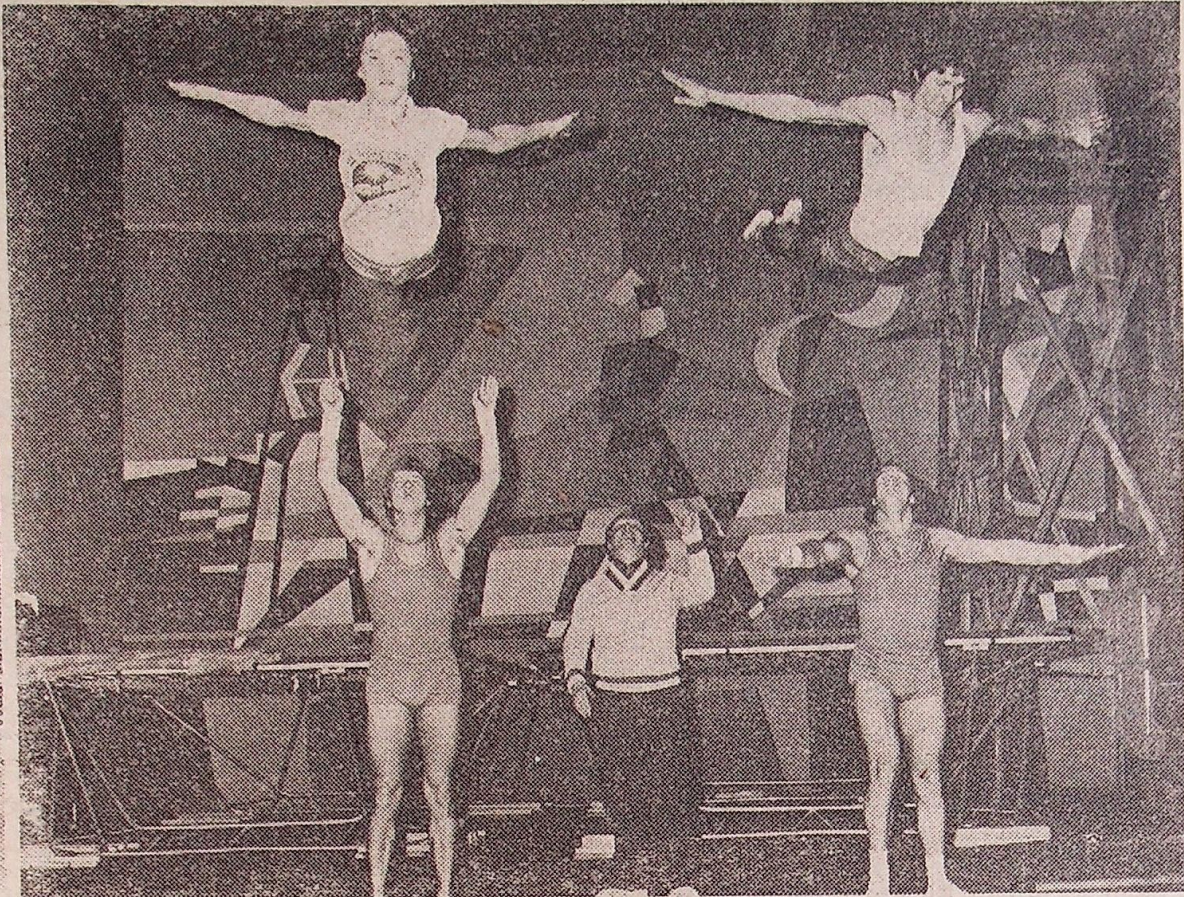
Fot. Krzysztof Raczkowski

W stosunkowo krótkim czasie karate zyskało sobie prawo obywatelstwa. Świadczy o tym ciągle wzrastająca liczba chętnych, którzy nie zawsze mogą trafić do sekcji, a to niemal wyłącznie z braku odpowiednich pomieszczeń do prowadzenia zajęć. Jesteśmy jednak przekonani, że wszystko ułoży się pomyślnie, znajdzie się miejsce do ćwiczeń, wzrośnie liczba fachowców i wszyscy chętni będą mogli poznać tajniki tej trudnej, ale niezwykle pożytecznej sztuki.

Dwa tygodnie temu ogłosiliśmy siódmy już plebiscyt na najpopularniejszych sportowców i trenerów województwa legnickiego. Do redakcji wpłynęło już kilkaset kuponów, na których Czytelnicy przedkładają swoje propozycje. Tytowanie jest bardzo zróżnicowane, a na czołowych miejscach pojawiają się wciąż nowe nazwiska. Nic w tym dziwnego, gdyż mijający rok nie przyniósł w zagłębiowskim sporcie wielkiego wydarzenia, które z góry mogłoby zdecydować o pierwszych lokatach. Stąd też pojawia się sporo kandydatów, nie uwzględnionych w zaprezentowanej przez nas liście. Trudno zdecydowanie określić kto jest najlepszy, gdyż różna jest specyfika poszczególnych dyscyplin i różna wartość osiągniętych sukcesów. Stąd też w tego rodzaju plebiscytach mówi się raczej o głosowaniu nie tyle na najlepszych, co na — najpopularniejszych.



Danuta Cały



Akrobaci ze Złotoryi.

Zdjęcia: Krzysztof Raczko

TRADYCYJNYM zwyczajem do głosu czytelników, dołączamy nasze propozycje. Zaczniemy od sportowców. Nie widzimy wśród nich zdecydowanego faworyta. Po długich rozważaniach i dyskusjach, na szczycie listy wpisujemy dwa nazwiska członków kadry olimpijskiej „B” — LILIANNY MORAWIEC oraz WIESŁAWA NIEMKIEWICZA. Morawiec była prawdziwą rewelacją zimowego sezonu. Zdobyła cztery medale na Ogólnopolskiej Spartakiadzie Młodzieży w kategorii juniorek. Z powodzeniem występowała w rywalizacji z seniorkami i na mistrzostwach Polski zdobyła drugie miejsce. Uczestniczyła jako debiutantka w mistrzostwach świata, wielokrotnie triumfowała w różnych zawodach krajowych i międzynarodowych.

Popularnego pięściarza Zagłębia Lubin — Wiesława Niemkiewicza doskonale znają wszyscy kibice. Jest to aktualny wice mistrz Polski w wadze średniej, reprezentant kraju, uczestnik różnych zawodów międzynarodowych; nadal jeden z najważniejszych kandydatów do udziału w moskiewskich Igrzyskach Olimpijskich, w swojej kategorii wagowej.

Na trzecim miejscu widzimy czwórkę doskonałych akrobatów Górnika Złotoryja — LESZKA ANTONOWICZA, SŁAWOMIRA HAŁADE, WOJCIECHA SWIECIKA i BOGDANA ZAJĄCĄ. Wprawdzie w kończącym się właśnie roku nie mieli za dużo okazji do zaprezentowania swoich najwyższych umiejętności (nie było imprez rangi mistrzostw czy pucharu świata) nadal są jednak aktualnymi mistrzami świata, nie mają równych sobie przeciwników — szczególnie w tak zwanym układzie dynamicznym. Zastępują więc w pełni na znalezienie się wśród najlepszych z najlepszych.

Tuż po akrobatach — na czwartym miejscu — widzimy DANUTĘ CAŁY — aktualną mistrzynię i rekordistkę Polski w pięcioboju. Wygrywała liczne zawody krajowe i międzynarodowe, bardzo dobrze spisywała się również w skoku wzwyż, w której to konkurencji należy do naszej ścisłej czołówki. Ponadto zdobyła wiele punktów dla swojej drużyny w rozgrywkach II ligi lekkoatletycznej i ma bardzo poważne szanse wyjazdu na igrzyska do Moskwy.

NASZE TYPY

Kolejna nasza kandydatura jest również kibicom doskonale znana. Przez wiele godzin siedzieliśmy przy telewizorach i z uwagą obserwowaliśmy walkę na trasie pierwszego Maratonu Pokoju rozgrywanego w Warszawie. Najlepszy czas w historii polskich maratończyków i jeden z najlepszych na świecie uzyskał zawodnik lubińskiego Zagłębia — KAZIMIERZ PAWLIK, który po morderczej walce zajął pierwsze miejsce. Była to duża sensacja. Po sukcesie w Warszawie szkoleniowcy Polskiego Związku Lekkiej Atletyki włączyli go do przygotowań olimpijskich. Być może — jeżeli utrzyma się w wysokiej formie — zobaczymy go na moskiewskiej Olimpiadzie.

Następna kandydatura może wzbudzić pewne zdziwienie. Chodzi o szachistę — reprezentanta legnickiego Legrolu — WIESŁAWA JANOCHE. Jest to — jak zgodnie określają fachowcy — talent wysokiej rangi. Był podporą drużyny, która w pięknym stylu wywalczyła awans do II ligi. Odniósł wiele sukcesów w turniejach indywidualnych, a ich ukoronowaniem jest zakwalifikowanie się do finałów mistrzostw Polski, co w szachach nie jest łatwą rzeczą. Sztuki tej nie udało się dokonać rutynowanemu koledze Janochy — Lutosławowi Manasterskiemu.

O piłkarzach różnie się mówi i pisze. Nie zawsze prezentują poziom oczekiwany przez sportową opinię. Są jednak wśród nich bardzo zasłużeni, od lat związani z tym samym klubem zawodnicy, jak np. ZYGMUNT BABIRACKI z Chrobrego Głogów. Wieloletniego kapitana i najlepszego napastnika rewelacji Pucharu Polski proponujemy umieścić na siódmym miejscu w gronie dziesięciu najlepszych sportowców.

Od kilku lat z uwagą obserwujemy dynamiczny rozwój akrobatyki sportowej w Jaworze. Na każdym zawodach pupilkim widzowi jest młodzieńca ZDZISŁAW PELLKA, który na tegorocznej Ogólnopolskiej Spartakiadzie Młodzieży wywalczył dwa

medale. Zasluguje więc w pełni na znalezienie się w gronie najlepszych sportowców. Tuż po nim proponujemy jedną z najlepszych zawodniczek Polski w skoku wzwyż, złotą medalistkę OSM — MAŁGORZATĘ MIZGAŁĘ oraz również złotego medalistę tej imprezy — młodego boksera z Głogowa — JÓZEFA PAPIEŻA, który był prawdziwą rewelacją w tym najważniejszym sprawdzianiu poziomu sportu młodzieżowego.

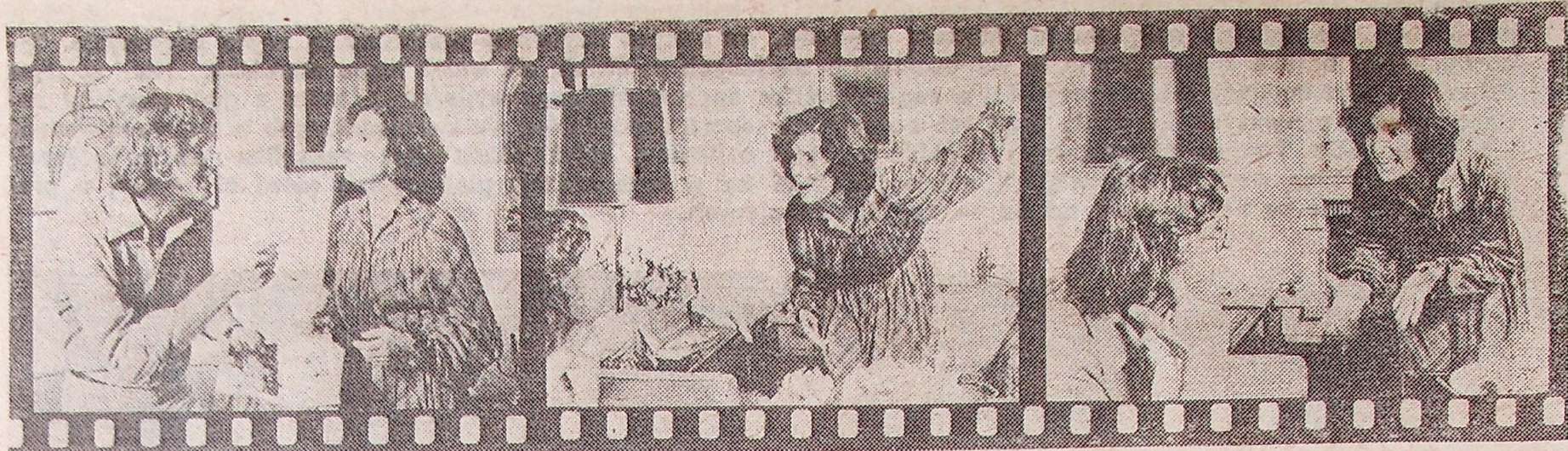
Przejdźmy do trenerów. W tym gronie z wytypowaniem piątki nie powinno być większych problemów. Na pierwszym miejscu widzimy PIOTRA KACZMARKA, znającego doskonale z dobrej pracy z lekkoatletami Zagłębia Lubin. Jest trenerem i wychowawcą dwójki złotych medalistów OSM — Małgorzaty Mizgały i Jarosława Szczypińskiego, a ponadto na co dzień opiekuje się mistrzynią Polski w pięcioboju — Danutą Cały.

Tuż za nim proponujemy ADAMA KAŻMIERCZYKA — twórcę łyżwiarstwa szybkiego w Lubinie i wychowawcę całej plejady liczących się w kraju zawodników, a przede wszystkim Lilianny Morawiec. Na dwóch następnych miejscach widzimy wielce zasłużonych trenerów akrobatyki PIOTRA i ZYGMUNTA BIEGAJÓW, którym nie jest potrzebna specjalna rekomendacja. Pierwszy z nich — z doskonałymi rezultatami — szkoli młodzież w Jaworze, a drugi jest trenerem złotoryjskiej czwórki. Proponowaną przez nas listę trenerów zamyka JERZY ADAMSKI — od wielu lat szkolący w Głogowie młodych pięściarzy, którzy odnoszą liczne sukcesy w kraju, a ich ukoronowaniem był niezwykle udany występ Józefa Papieża w Ogólnopolskiej Spartakiadzie Młodzieży.

PRZEDSTAWILIŚMY swoje kandydatury do grona najlepszych. Traktujemy to jako głos w trwającej dyskusji. Niczego nie zamierzamy sugerować. Każdy może i powinien mieć własne zdanie. O ostatecznej kolejności na liście najlepszych sportowców i trenerów zdecydować głosy naszych czytelników.

ZYGMUNT LUSZCZ

P.S. Przypominamy, że swoje typy należy przysyłać na kartkach pocztowych (tym razem nie zamieszczamy kuponów) na adres naszej redakcji (59-220 Legnica, pl. Chopina 2) w nieprzekraczalnym terminie do 5 stycznia 1980 roku.



ZDUMIEWAJACE.

ZBAWIENNE SKUTKI RODZINNYCH KŁÓTNI

Sprzeczki, zwady, kłótnie wcale nie muszą osłabiać więzi między dwojgiem małżonków. Wręcz przeciwnie — mogą sprzyjać jej utrwalaeniu. Pod jednym wszakże warunkiem: partnerzy muszą znać reguły tej gry i zawsze się do niej stosować.

W TAKSÓWCE piękna kobieta wrzeszczy jak oszalała. Towarzyszący jej mężczyzna nie pozostaje dłużny. Awantura egipska. Taksówka pędzi ulicami Londynu pod gmach amerykańskiej ambasady. Kierowca Basil Ward opowiada później:

— Myślałem, że nie dowiozę ich cało, ale raptem ucichło. Spojrzałem w lusterko i co widzę? Całują się! Kiedy stanąłem, on wyniósł ją na rękach, a mnie dał suty napiwek. Całego funta!

Ową parą w taksówce byli Elizabeth Taylor i Richard Burton, słynni aktorzy amerykańscy. Historia ich małżeństwa to pasmo nieustających zwad, kłótni, trzaskania drzwiami i tłuczenia szkła. Każdy wybuch kończył się jednak cudownym pojednaniem. Inne pary wadzą się także, choć nie zawsze potrafią się pogodzić. Jeszcze inne nie sprzeczą się nigdy, aż ze zdumieniem stwierdzają, że ich związek rozpadł się, że nie ich już z sobą nie łączy. W czym rzecz? W tym właśnie, iż zbyt mało lub zgola nic nie wiedzieli o istocie zwady i jej regułach. A Burtonowie je znali. Żyli z sobą 16 lat i dla każdego z nich był to najdłuższy, do dziś mile wspomniany związek małżeński.

Psycholodzy, którzy badają związki między ludźmi i ich uwarunkowania, twierdzą, że spory małżeńskie szkody rodzinie nie przynoszą, więcej — są pożyteczne. Kto w kłótni daje gwałtowny upust uczuciom i słowom — działa spontanicznie; mimo złości, pozostaje prawdziwy; nie odziewa się w kostium pozorów, nie kryje za fałszywą maską. Kto się lubi, ten się czubi — głosi też bardzo, bardzo stare polskie porzekadło.

I nic w tym nowego, ani dziwnego. Trwając w bliskich związkach z drugim człowiekiem wiemy, że wzajemne przyzwyczajenia, codzienna jedność, ten stały powtarzający się ryt — wstawanie, praca, powrót do domu, oglądanie telewizji — prowadzą do napięcia. Nawet bez niczyjej winy. „Sprzeczka działa wtedy jak oczyszczająca atmosfera burza — powiada psycholog dr Barbara Thiele — Może się skończyć nawet tłuczeniem naczyń, ale by potem wspólnie te skorupy sprzątać”.

Małżeńskie kłótnie są groźne, gdy kończą się nie pojednaniem, lecz wzajemnym upokorzeniem, zdeptaniem, zniszczeniem. Aby do tego nie dopieścić, trzeba poznać reguły

gry i umiejętnie tymi „krótkimi spięciami” sterować. Oto najważniejsze przykazania:

1. Wadźcie się w obecności innych do woli, ale nigdy w obecności dzieci!

Tak bywa, że większość z nas skłonna jest wykorzystać w czasie zwady tę okoliczność, która nam sprzyja. Partnera stawiamy w sytuacji najbardziej niekorzystnej. Dla ilustracji małżeński dialog przy wspólnej z dziećmi kolacji:

On: — Zawiadomiłaś swoją matkę, że w najbliższą niedzielę ma do nas nie przychodzić?

Ona: — Nie, jeszcze nie.

On: — Do diabła, prosiłem cię o to trzy razy!

Ona: — Nie wrzeszcz tak!

On: — Wrzeszczę, kiedy mam na to ochotę.

Ona: — Ale nie przy dzieciach...

On: — Właśnie przy dzieciach, niech wiedzą, jak dotrzymujesz słowa.

Dr Georg Bach, kierownik kalifornijskiej „Szkoły żon” w Beverly Hills, powiada na to: „Małżeńska kłótnia przy dzieciach stwarza poważne problemy, ale w obecności dorosłych na ogół przynosi dobre skutki. Ci dorośli bowiem to najczęściej nasi sprzymierzeńcy lub rozjemcy. I zwykle zwaśnieni małżonkowie jednocześnie się przeciwko takiemu rozjemcy, dochodzą między nimi do pojednania. Znają dobrze ten sposób adwokaci”.

2. Do waśni dobierajcie odpowiednie miejsce.

Dłużej wytrzymać już tego nie można, wrzeszcze trzeba wszystko wygarnąć, właśnie zamierzacie wszcząć awanturę, a tu już po pierwszym wrzasku partner wstaje i trzaskając drzwiami wychodzi. Co wtedy począć z nagromadzoną złością? Doświadczeni ruszają do ataku wtedy, gdy ta druga (lub ten drugi) musi nas do końca wysłuchać. Np. na środku jeziora, w łodzi. Albo w taksówce.

3. Unikajcie chwytów „poniżej pasa”!

Na deskach kilku teatrów, także na ekranach kin, oglądać można było przed laty sztukę pt. „Kto się boi Wirginii Woolf?”. Jej bohaterowie nie szczędzą sobie żadnych upokorzeń, stosują najbrutalniejsze chwyt, aby się wzajem zniszczyć. Kto tak postępuje, ryzykuje wiele. Przykład dialogu podsluchanego na plaży:

Ona: — Tylko popatrz na tego mężczyznę:

wspaniale zbudowany. Jak ty przy nim wyglądasz! Istna karykatura...

On: — Dlaczego więc wyszłaś za mnie?

Ona: — Myślałam, że masz przynajmniej rozum...

4. W czasie zwady próbujecie partnera kształtować, zmieniać.

Dr Georg Bach twierdzi, że w dobrym partnerstwie strony się uzupełniają, co nie znaczy, że nie dostrzegają swych wad. Widzą je wyraźnie i radzi byliby je zwalczyć. Czy tak?

On: — Za dużo palisz...

Ona: — Ale tylko papierosy z filtrem!

On: — Jeszcze kpisz...

Ona: — Dobrze wiesz, że nie potrafię rzucić palenia, tyle razy próbowałam.

On: — Tak, ale mnie się to nie podoba. Masz nikotynową twarz i wstrętny oddech.

Ona: — A ty masz wstrętny brzuch, czemu się go nie pozbędziesz?

On: — Bo pchasz we mnie tylko to tuczące żarcie...

Ona: — A ty je bez opamiętania lykasz, idioto!

Taka wymiana poglądów od razu partnerów nie zmieni, to oczywiste. Uświadomi jednak, że sami też bez wad nie są i może im ułatwić kontrolę postępowania w przyszłości.

5. Waśniom z drogi nie schodźcie!

Każda sprzeczka jest lepsza od coraz częstszego motywu rozwodu: jesteśmy niedopasowani, nie rozumiemy się, dłużej ze sobą żyć nie możemy. A brzmieć on raczej powinien tak: nie potrafiliśmy informować się nawzajem o naszych uczuciach, nastrojach, poglądach. Sprzeczaliśmy się za mało lub wcale.

BOWIEM w każdej burzliwej wymianie zdań sporo się o partnerze dowiadujemy. Także o naszym do niego stosunku. Pozwala nam to w porę swoje postępowanie korygować, zapobiegać najgorszemu. Utarczki cementują małżeństwo. Pod jednym warunkiem, po nich nie może być zwycięzców, ani zwyciężonych. Bo jeżeli tak swoje sprzeczki kończycie, to po pewnym czasie na pewno się okaże, że przegraliście oboje.

Opracowała: KNK

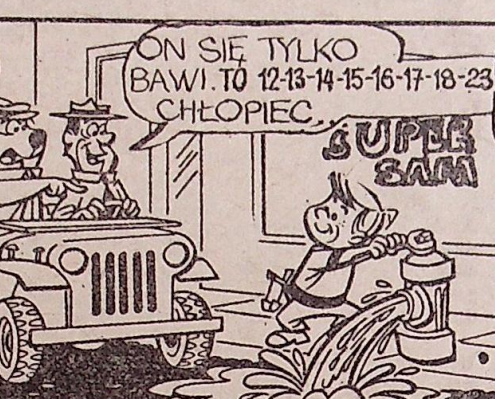


SPOKOJNIE.

KONKURS



HEJ URWISIE!
CZY WIESZ, ŻE
1-2-3-4-5-6-7-8-9
TWÓJEJ MAMY
NIE OBEJMUJE
CHULIGAŃSKICH
WYBRYKÓW?



1	2	3	4	5	6	7	8
9	10	11	12	13	14	15	
16	17	18	19	20	21	22	
23	24	25	26	27	28	29	

Przygody misia Yogi zniknęły już chyba bezpowrotnie z ekranów naszych telewizorów, choć na świecie nadal cieszą się powodzeniem widzów w różnym wieku. Póki co proponujemy naszym Czytelnikom sympatycznego misia w komiksowej postaci. Tym razem wszędobyłski spryciarz wcielił się w agenta ubezpieczeniowego Państwowego Zakładu Ubezpieczeń. W nowej roli radzi sobie zupełnie nieźle. Aby jednak nieco utrudnić zabawę zamieniliśmy niektóre wyrazy w cyfry. Jak łatwo się domyśleć — rozwiązanie konkursu polega na odgadnięciu ukrytych pod cyframi liter i wpisaniu ich do zamieszczonego wyżej diagramu (który jest jednocześnie kuponem konkursu). Odpowiedzi na naklejonym na karcie pocztowej kuponie prosimy nadsyłać na adres: Redakcja tygodnika „Konkrety”, plac Chopina 2, 59-220 Legnica. Termin mija 15 stycznia 1980 r. Prosimy o dopisek „KONKURS PZU”.

Na autorów prawidłowych rozwiązań czekają atrakcyjne nagrody ufundowane przez Oddział Wojewódzki PZU w Legnicy: ZESTAW TURYSTYCZNY, ZEGAREK NA RĘKĘ, MATERAC TURYSTYCZNY, DWA ZEGARY ELEKTRYCZNE ŚCIENNE, DWA KOMPLETY SZTUĆCÓW, KOMPLET BRYDŻOWY.

Przyjemnej zabawy i powodzenia w losowaniu nagród!

KONKURS

Wierzmy, że Czytelnicy przyjmą ten horoskop z przymrużeniem oka, a losów swoich gwiazdom nie powierzą. Gwiazdy mówią o roku 1980.



BARAN 21. III. — 20. IV.

Rok cierpliwości. Dla osób spod znaku Barana rok ten zapowiada się nadzwyczaj pomyślnie, dla osiągnięcia jednak pełnych sukcesów potrzeba im będzie dużo wytrwałości i cierpliwości, której Baranom często brakuje. Bo pełne sukcesy przyjdą dopiero w drugiej połowie roku, naprzód więc trzeba będzie na nie solidnie zapracować. W uczuciach — zmiana. Może ktoś nowy? Lub ta „pierwsza miłość”?... Finanse — wciąż jeszcze nie najlepsze — pod koniec roku wybitnie się poprawią.

Znaki o których warto pamiętać: Panna i Koziorożec.



BYK 21. IV. — 21. V.

Rok pomyślnych zdarzeń. W roku tym wiele będzie się działo rzeczy związanych z Twoją osobą, a niezależnych od Ciebie. Będą to zdarzenia pomyślne, zbiegi okoliczności działające na Twoją korzyść. Dość niespodziewanie zrealizujesz większą inwestycję domową, „życiowy” zakup, a z finansami, wbrew pozorom będzie przecież nie najgorzej. Dużą wagę przyłożysz do spraw zawodowych, czasami bywasz zbyt konfliktowy. W drugiej połowie roku — ciekawy wyjazd. W uczuciach — stabilizacja.

Znaki przychylne: Lew i Waga.



BLIŹNIĘTA 22. V. — 21. VI.

Rok intensywnej pracy. Dla osób urodzonych pod znakiem Bliźniąt, rok ten będzie okresem szczególnie wyjątkowej pracy zawodowej, okresem, w którym osiągnąć mogą na tym polu duże sukcesy. Szczególnie zaś procentować tu będą wszelkie umiejętności zawodowe. Osoby wolne, w drugiej połowie roku, mogą związać się trwałym węzłem... Dużo kontaktów towarzyskich, nowe przyjaźnie. Finanse utrzymują się na wyrównanym poziomie, z tendencją wzrostową w drugiej połowie roku, ale — z wydatkami ostrożnie!

Znaki przychylne: Wodnik i Strzelec.



RAK 22. VI. — 22. VII.

Rok zmian. Choć osoby spod znaku Raka odznaczają się raczej stabilnością charakteru, rok ten może im przynieść sporo niespodziewanych, acz korzystnych zmian. Dotyczy to zarówno życia osobistego, jak i spraw zawodowych. Być może nie zawsze będą się one wydawać pomyślne, lecz tylko z pozoru. Rak — jak wiadomo — posiada wiele rozsądku i rzeczowego spojrzenia na świat — w sumie więc — ocena tych zdarzeń powinna być pozytywna. Wiele osób wolnych spod tego znaku, zwłaszcza w trzech pierwszych miesiącach i pod koniec roku — może związać się węzłem małżeńskim.

Znaki szczególnie przychylne: Ryby i Waga.



LEW 23. VII. — 22. VIII.

Rok ciekawych przeżyć. Osoby spod znaku Lwa są na ogół zdecydowane w działaniu, szyb-

kie w decyzji, umieją sobie ułożyć życie. Ten rok będzie dla nich szczególnie urozmaicony. A więc daleka i ciekawa podróż — przy czym Lwy powinny w tym okresie szczególnie dbać o zdrowie — dość zaskakujące propozycje zawodowe i duże osiągnięcia w tym zakresie, w uczuciach — co nie bardzo pasuje do Lwów — nadmierna kochliwość. W nadchodzącym roku Lwy powinny wykazać się większą cierpliwością i wyrozumiałością. W finansach — najlepszy okres to czerwiec i wrzesień.



PANNA 23. VIII. — 22. IX.

Rok sukcesów. Rok ten dla osób spod znaku Panny, to uwieńczenie wysiłków, wytrwałej pracy i pomyślna realizacja zamierzeń. Osoby uczące się — zwłaszcza jeśli chodzi o nauki humanistyczne — ukończą „na piątkę” studia, pracujące mają szansę na awans, osoby starsze —

Znaki sprzyjające — Strzelec i Baran.

GWIAZDY MÓWIĄ O ROKU 1980

mają przed sobą szczególnie pogodny, pomyślny rok, okres doskonałego samopoczucia, dobrego zdrowia. Kiesza — wypełniona. Łatwo przyszło — łatwo może pójść więc bacz na wydatki.

Znaki przychylne: Lew i Byk.



WAGA 23. IX. — 23. X.

Rok wykorzystanych możliwości. Osoby spod znaku Wagi mają wiele rozsądku, umieją wyciągać właściwe wnioski i na ogół potrafią zawsze podjąć trafną decyzję. Szczególnie ten rok przyniesie im wiele możliwości, zarówno zawodowych jak i finansowych, z których potrafią skorzystać. Ważne przy tym jest, aby nie przeoczyć szansy. W uczuciach — po okresie stabilizacji, już w początkach roku — mogą zaistnieć konflikty, które trudno będzie później załagodzić. Nie trzeba przeto wstydliwie rozpatrywać na zimno, dogłębnie analizować. Włos rozcięty na czworo — rwie się szybko...

Znaki, o których trzeba pamiętać: Rak i Baran.



SKORPION 24. X. — 22. XI.

Rok zmagania. Będzie to rok dla osób spod znaku Skorpiona i trudny i — łatwy. Trudny o tyle, iż będą zmagać się ze sobą w sprawach uczuciowych i rodzinnych. Łatwy — gdyż niespodziewanie ułożą im się dobrze sprawy zawodowe i finansowe. Osoby młodsze spotkać się mogą z szeregiem konfliktów sercowych i rodzinnych. Trzeba będzie wiele taktu, wyrozumienia i właściwej oceny swojego postępowania, aby rozwiązać bardzo nieraz skomplikowane sprawy.

Osoby starsze mogą spodziewać się znacznej poprawy warunków finansowych, lecz również i nieco rodzinnych kłopotów.

Znaki przychylne: Wodnik i Rak.



STRZELEC 23. XI. — 21. XII.

Rok próby. Na ogół Strzelcy wierzą we własne siły. A właśnie ten rok szczególnie będzie od nich wymagał tej wiary. Bo może się zdarzyć, iż Strzelcy poddani zostaną tej próbie i tylko wiara w słuszność swojej sprawy pozwoli im wyjść z opresji zwycięsko... Perspektywy tego roku jednak w sumie są niezłe. Trwając twardo przy swoim stanowisku, Strzelcy osiągnąć mogą w tym roku duże sukcesy, zwłaszcza, jeśli chodzi o osoby związane z naukami technicznymi i im pokrewnymi. W sprawach sercowych — oprócz uczucia — potrzeba będzie też i trochę rozsądku! W domu — dotyczy to szczególnie osób starszych — więcej samokrytyki!

Znaki szczególnie przychylne: Panna i Ryby.



KOZIOROŻEC 22. XII. — 20. I.

Rok sprzeczności. Będzie to jednak, wbrew pozorom, dla Koziorożców rok bardzo pomyślny. Choć pewne symptomy wskazywać będą na nieprzychylny przebieg wypadków — rezultat jednak, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności — okaże się zawsze korzystny. Czarne — może łatwo okazać się białym. Tak właśnie często w życiu bywa i tak zapowiada się okres tych dwunastu miesięcy dla Koziorożców. Szczególnie ważne mogą okazać się miesiące kwiecień i wrzesień. Uwaga na zdrowie — zwłaszcza w drugiej połowie roku.

Znaki przychylne: Byk i Panna.



WODNIK 21. I. — 20. II.

Rok spełnionych nadziei. Osoby urodzone w tym okresie — w nadchodzącym roku osiągną od dawna zamierzone cele, przy czym z dużą łatwością będą pokonywać wszelkie trudności życiowe. W tym roku czeka też Wodnika duża i atrakcyjna podróż, dużo ciekawych przygód i — pewna stabilizacja zawodowa. W pierwszym kwartale roku szczególnie trzeba dbać o zdrowie! Finanse — poprzednio nie najlepsze — wybitnie poprawią się od połowy roku. W rodzinie — zadawniony konflikt — znajdzie wreszcie swoje szczęśliwe zakończenie.

Znaki, które będą miały duże znaczenie: Skorpion i Panna.



RYBY 21. II. — 20. III.

Rok podróży. Ludzie urodzeni pod znakiem Ryb charakteryzują się wrażliwością, łatwo poddają się cudzym wpływom, są często znerwicowani, nie zawsze zgodni z otoczeniem. Ten rok przyniesie im dużo wrażeń, szczególnie zaś osobom lubiącym podróże. Będą to wybitnie atrakcyjne wojaże — być może zagraniczne — pozwalające na poznanie nowych ludzi, krajów, na zawarcie nowych znajomości i przyjaźni. Niezwłocznie, iż zwiążą się one ze sprawami uczuciowymi — może właśnie wtedy utrwali się „stara miłość” lub też znajdzie się ktoś całkiem „nowy”... Finanse zapowiadają się niezłe, zwłaszcza w pierwszej połowie roku. Zdrowie na ogół dopisuje.

Znaki przychylne: Wodnik i Panna.

WOJEWÓDZKA SPÓŁDZIELNIA PRACY BUDOWLANO - MONTAŻOWA „BUDOMONT”

w Legnicy

ŚWIADCZY USŁUGI DLA LUDNOŚCI

w zakresie:

WYKONANIA GARAŻY PRZENOŚNYCH

o konstrukcji stalowej wg następujących wymiarów:

a) 2,75 × 4,50 — wys. 2,20

b) 2,75 × 6,00 — wys. 2,20

Szczegółowe informacje można uzyskać w dziale usług

spółdzielni przy ulicy Bagiennej 2, tel.: 239-51, 200-82.

834-k

23. XII. br. sklepy Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego

ZAPRASZAJĄ:

w LEGNICY — w godz. 10—16:

— Dom Odzieżowy przy ul. Rosenbergów 9/10;

w GŁOGOWIE — w godz. 10—16:

— artykuły sportowe przy pl. Wolności 12,
— artykuły odzieżowe przy al. Wolności 16,
— Dom Dziecka przy al. Wolności 20;

w JAWORZE — w godz. 9—15:

— konfekcja damska — Rynek 38,
— RTV — Rynek 25/26,
— artykuły oświetleniowe — Rynek 28;

w ZŁOTORYI — w godz. 9—15:

— konfekcja damska przy pl. Wolności 37,
— konfekcja męska przy pl. Wolności 22,
— sprzęt zmechanizowany przy ul. Reymonta 8,
— RTV przy pl. Wolności 26.

ŻYCZYMY UDANYCH ZAKUPÓW!

919-k

OGŁOSZENIA DROBNE

SPRZEDAM kombajn typu „Wistula” stan dobry na chodzie. Wiadomość: Zagrodno 141, woj. legnickie, Józef Kałkowski. 065033-g

OSOBY, które były świadkami wypadku drogowego na skrzyżowaniu ulic Wrocławskiej i Zawadzkiej w Lubinie, dnia 8. X. 1978 r. około godz. 16.30 proszę o kontakt telefoniczny na tel.: 297-01 Legnica, Wielkiej Niedźwiedzicy 3/3. 065084-g

SPRZEDAM zuka typ A-II, bardzo dobry stan. Wiadomość: Rogoźnik 1, gmina Ruja, Edward Byczko. 065085-g

ZGUBIONO przepustkę komputerową nr 182939 wydaną przez Zakłady Górnicze „Polkowice” na nazwisko Władysław Klimczak zamieszkały w Jaworze, ul. Grunwaldzka 1 m. 19. 065086-g

Piątek, 21.XII.79 r.

16.30 — Piątek z Pankracym. 18.00 — „Saga rodu Rius” — serial hiszp. 20.30 — „Guadalupe diary” — amerykański film wojenny.

PROGRAM II

20.30 — Teatr wspomnień — Stanisław Wyspiański „Cyd”, reż. Ludwik René. Wyst. Anna Milewska, Elżbieta Kepińska, Ignacy Gogolewski, i inni. 21.55 — „Matka” — słynny film Wsiewołoda Pudowkina.

Sobota, 22.XII.79 r.

9.00 — „Timur i jego drużyna” — cz. I filmu radz. na podst. książki E. Gajdara. 16.30 — „Wielkie manewry” — film René Claira z Gerardem Philipem i Michele Morgan. 20.30 — „Grand Prix” — film amerykański z Yves Montandem w roli głównej. 22.30 — Spotkanie z gwiazdą: Drupi przedstawia.

PROGRAM II

18.10 — „Zareczyny” — odc. IX serialu TP „Czarne chmury”. 20.30 — Opera miesiąca — „Kopciuszek” — balet Sergiusza Prokofiewa według bajki Ch. Perraulta.

Niedziela, 23.XII.79 r.

9.00 — „Nikt nie pozostał” — odc. serialu „Tajemniczy ogród”. 12.20 — Poranek symfoniczny.



Izabela Schuetz w serialu „Strachy”.

15.20 — „Helena i mężczyźni” — komedia francuska. Reż. Jeana Renoira. Wyst. Ingrid Bergman, Jean Marais, Mel Ferrer. 18.10 — „Na wschód” — radz. serial dok. odc. pt. „Decydujący front”. 20.30 — „Strachy” — serial obyczajowy prod. polskiej, odc. III pt. „Gdzie oczy poniosą”. 22.05 — „Rafaella Carra i jej goście” — pr. muzyczno-rozrywkowy. 23.00 — „Z muzyką przez lata” — pr. Jerzego Waldorffa.

PROGRAM II

9.00 — Teatr TV — Stefan Żeromski — „Sukowski”. 11.45 — Spotkanie z twórczością Jarosława Iwaszkiewicza.

Poniedziałek, 24.XII.79 r.

9.00 — Dla młodych widzów „Timur i jego drużyna” — cz. II — film radz. 15.10 — Program dnia. 15.15 — Dziennik. 15.25 — Człowiek, Ziemia, Kosmos. Program o udziale Polaków w badaniach kosmicznych prowadzi Mirosław Hermaszewski. 16.00 — „Pierwsza gwiazdka” — norweska baśń filmowa. 17.40 — Poradnik dobrych obyczajów — „Wieczór wigilijny”. 18.15 — „Organ polskie” — film dokument. 18.45 — Śnieżna ballada — program muzyczny. Śpiewa zespół „Novi Singers”. 19.00 — Wieczorynka. 19.30 — Wieczór z dziennikiem. 20.30 — Teatr TV — Leon Schiller — „Pastoralka” — reż. Stefan Szlachtycz. Wyst. Ewa Ciepiela, Dorota Pomykala, Jan Guntner, Edward Lubaszko i in. 22.10 — W starym kinie — „Wielki walec” — amerykański film fab. Film o twórczości Jana Straussa.

PROGRAM II

14.15 — Pegaz młodych. 14.45 — Popołudnie wiedzy i fantazji. 15.45 — „Panorama folkloru”. 16.15 — Magazyn lotniczy. 16.45 — Program dnia. 16.50 — „Wigilijne scherzo” — cz. I — Wieczór wspomnień i przygód artystycznych w gronie



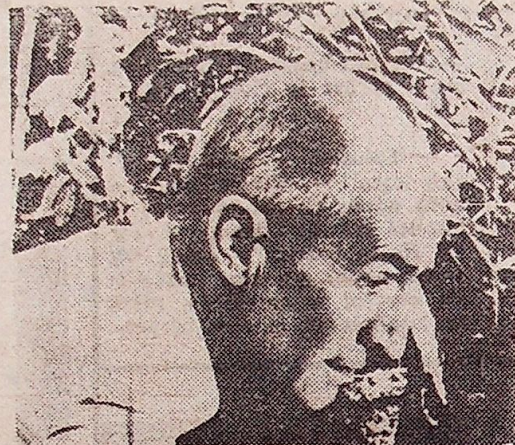
Liz Taylor zobaczymy w filmie „Piękny Brummell”

znakomitych wykonawców: Henryka Czyża, Kaji Danczewskiej, Lidii Grychtolówny, Urszuli Trawińskiej, Elżbiety Gajewskiej, Tadeusza Gadzińskiego, Jerzego Artysza, Jerzego Maksy-

miuka oraz Polskiej Orkiestry Kameralnej. 19.00 — „Orawska zima” — film dok. 19.30 — Wieczór z dziennikiem. 20.30 — „Piękny Brummell” — angielski film fab. Wyst. Elizabeth Taylor, Peter Ustinov, Robert Morley. 22.20 — Wigilijne scherzo”.

Wtorek, 25.XII.79 r.

8.55 — Program dnia. 9.00 — Dla młodych widzów — „Podwodne miasto kapitana Nemo” — ang. film fab. oparty na powieści Juliusza Verne’a „20 tys. mil pod morskiej żegluga”. 10.45 — Telewizyjny koncert życzeń. 11.25 — Architektura drewniana w Polsce — „Karczmy drewniane” — film dok. 11.45 — Recital zespołu „Alibabki”. 12.00 — Studio Sport — III plebiscyt Inter- i Eurovizji na najpopularniejszego sportowca roku 1979. 12.45 — Recital Bogdana Łazuka. 13.00 — „O czym szumią Strumiany” — spektakl teatralny na podstawie książki Kennetha Grahama „O czym szumią wierzby”. Wyst. Krystyna Sienkiewicz, Ewa Wisniewska, Bogdan Baer, Włodzisław Gliniński, Krzysztof Kowalewski, Jan Stanisławski. 14.00 — w starym kinie — Filip i Flap w filmie: „Schowajcie swoje smutki” — komedia amerykańska. W rolach głównych: Stan Laurel i Oliver Hardy. 15.00 — Splewka Lidia Stanisławska. 15.15 — Tele-Echo — wydanie świąteczne. 16.15 — Muzyka małego ekranu — cz. I — Najnowsze nagrania Orkiestry PRiTV w Poznaniu — w programie: koledy, pastorałki, piosenki. Wyst. Urszula Sipińska, Krystyna Prońko, Zbigniew Wodecki, Chór Jerzego Kurczewskiego. 17.15 — „Zwariowany weekend” — francuska komedia. Wyst. Louis de Funes, Colette Brosset. 18.45 — Recital Hanny Banaszak. 19.00 — Wieczorynka. 19.30 — Wieczór z dziennikiem. 20.30 — „Potop” — cz. I — polski film fab. Adaptacja powieści Henryka Sienkiewicza. Reż. Jerzy Hoffman. Wyst. Daniel Olbrychski, Małgorzata Braunek, Tadeusz Łomnicki, Kazimierz Wichniarz, Władysław Han-cza, Leszek Teleszyński, Ryszard Filipiak. 21.15 — Muzyka małego ekranu — cz. II. 24.00 — „Znikający punkt” — ang.-amerykański film fab. Reż. Richard Sarafian. Wyst. Barry Newman, Dean Jagger i inni.



Louis de Funes w „Zwariowanym weekendzie”.

PROGRAM II

9.00 — Studio 8 zaprasza. 9.15 — „O tobie spiewa bajka” — Irena Santor spiewa dla dzieci. 9.40 — Świąteczny przegląd polskich estrad — cz. I. 10.05 — „Halo na łączach”. 10.35 — Filmowy magazyn Studia 8. 10.50 — „Wspaniała czwórka” — animowany serial science-fiction tv amerykańskiej. 11.15 — „Ufo w M-3” — felieton filmowy. 11.35 — „Wehikuł czasu” — amerykański film fab. 13.15 — „Kopytówka” — świąteczna wizyta na Podhalu. 13.35 — Świąteczny przegląd polskich estrad — cz. II. 14.10 — „Mazurska ballada”. 14.25 — „Opowieść o kniei”. 14.40 — Gwiazdy, gwiazdki, gwiazdeczki — Skaldowie. 15.10 — „Powrót Świętego” — odc. pt. „Układ” — film fab. tv angielskiej. 16.00 — „Noc duchów” — rep. filmowy Macieja Szumowskiego. 16.25 — „Dzień ludzi — Remiza” — rep. J. Wieleńskiej i E. Marciniaka. 16.45 — Kolekcja Leszka Mazana. 16.55 — „Czarny teatr” z Pragi. 17.15 — „Porcelanowe panienki” — czeski film fab. 19.00 — Conrad Drzewiecki dla dzieci — „Piotruś i Wilk”. 19.30 — Wieczór z dziennikiem. 20.30 — Studio 8 proponuje. 20.40 — Z cyklu „Gwiazdy, gwiazdki, gwiazdeczki” — grupa „Vox” i „Alex Band”. 21.15 — Magazyn Filmowy Studia 8. 22.20 — Conrad Drzewiecki — dla dorosłych — „Pawana na śmierć infantki”. 22.40 — Teledyskusje — pr. rozrywkowy A. Walligórskiego i L. Niedzielskiego. 23.10 — „Gra w podchody” — film sens. USA z cyklu „Sierżant Anderson” — rol. gl. Angie Dickinson.

Środa, 26.XII.79 r.

8.55 — Program dnia. 9.00 — Dla młodych widzów — „Griszka i kon Zefir” — radz. film na motywach prozy A. Gajdara. 10.10 — „Powrót Lesie” — amerykański film fab. Wystapia: Donald Crips, Roddy McDowall, Elizabeth Taylor. TYLKO W NIEDZIELE

11.45 — Omówienie programu. 11.50 — „Dziadek” — rep. o Stanisławie Maruszku. 12.15 —

Pamiętnik z za kulis sceny — Barbara Ludwiżanka. Pierwszy program poświęcony wybitnym aktorom współczesnego teatru. 12.55 — Poczet zon, królów i książąt polskich — Bona. 13.55 — Śląska gra Bona — rep. z realizacji serialu TVP. 13.35 — Twarzą do orkiestry: Grzegorz Fitelberg — film dok. 14.15 — Szansa — pr. publicystyczno-turiejowy. 15.00 — Losowanie Małego Lotka. 15.10 — „Kryptonim „Cyfero” — ameryk. film sens reż. Joseph Mankiewicz, w rolach głównych James Mason, Danielle Darrieu, Michael Rennie. 17.00 — Testament Marii Skłodowskiej-Curie — film dok. 17.50 — Kabaret jeszcze Starszych Panów — „Kaloryferia” — reż. Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski. Występują: Jeremi



Irena Kwiatkowska w „Kaloryferiach”.

Przybora, Jerzy Wasowski, Irena Kwiatkowska, Kalina Jedrusik, Wiesław Michnikowski, Mieczysław Czechowicz. 19.00 — Wieczorynka. 19.30 — Wieczór z dziennikiem. 20.35 — „Potop” — cz. II — reż. Jerzy Hoffman. W rolach głównych: Daniel Olbrychski, Małgorzata Braunek, Tadeusz Łomnicki, Kazimierz Wichniarz, Władysław Han-cza, Leszek Teleszyński. 22.45 — „Gość” — świąteczny kabaret Olgi Lipińskiej — udział biorą: Maryla Rodowicz, Janusz Gajos, Jan Kobuszewski, Marek Kondrat.

PROGRAM II

ŚWIĄTECZNY BLOK FILMOWY
9.00 — „Prezenty gwiazdkowe” — prowadzi Bronisław Pawlik. 9.05 — „Konik garbusek” — radz. film animowany. 10.15 — „O dwóch takich co ukradli księżyc” — polski film — reż. Jan Batory. Wyst. Lech i Jarosław Kaczyński, Ludwik Benoit. 11.35 — „Baśń o pięknej Orinie” — czeska baśń filmowa. 13.00 — „Niezwyczajne przygody Robin Hooda” — odc. pt. „Szpieg” — amerykański film fab. — parodia filmu przygodowego. 13.55 — „Ertaz i piękna Margarita” — radz. film fab. 15.20 — „Najazd Daleków na Ziemię” — angielski film science-fiction. 16.45 — „Samotna królowa” — amerykański film historyczny. W roli głównej Bette Davis. 18.20 — „Parada oszustów” — odc. pt. „Mistrz zawsze traci” — reż. Grzegorz Lasota. Wyst. Bronisław Pawlik, Piotr Fronczewski. 19.00 — „Kulig” — film rozrywkowy TP. 19.30 — „Morderstwo w hotelu” — angielski film kryminalny — reż. George Pollock. Jest to adaptacja powieści Agaty Christie. 21.50 — „Rio Conchos” — amerykański western. Reż. Gordon Douglas. Wyst. Richard Boone, Stuart Whitman.

Czwartek, 27.XII.79 r.

20.30 — „Komisarz Maigret” — odc. pt. „Wariatka i Maigret” — film fab. tv francuskiej. Adaptacja powieści Simenona. W rolach głównych Jean Richard, Francoise Cadet. 22.05 — „Pegaz”. 23.05 — „W minutę po premierze” — „Estradowiec”.

PROGRAM II

12.25 — Świąteczne gwiazdy tenisa. 22.10 „Sylwester od „a” do „r” — pr. rozrywkowy — reż. Andrzej Strzelecki. Wyst. Barbara i Maria Wi-niarskie.

Piątek, 28.XII.79 r.

18.00 — „Saga rodu Rius” — odc. 9 filmu fab. prod. hiszp. 20.30 — „Staroświecka komedia” — radziecki film obyczajowy. Ekranizacja sztuki Aleksieja Arbuzowa. 22.50 — „Proscenium” — magazyn teatralny.

PROGRAM II

17.00 — DZIEŃ KUBY W TV POLSKIEJ. 18.15 — „5-u-4, Somos” — rep. o interesującym zespole muzycznym. 22.00 — Film fabularny.



Scena z „Potopu”

JAK WAM SIĘ PODOBAJĄ...

„Konkrety” w tej szacie graficznej? Czekamy na Wasze opinie. Wśród tych Czytel-

ników, którzy zechcą się wypowiedzieć listownie — rozlosujemy nagrody — TRZY ROCZNE PRENUMERATY NASZEGO PI-SMA.

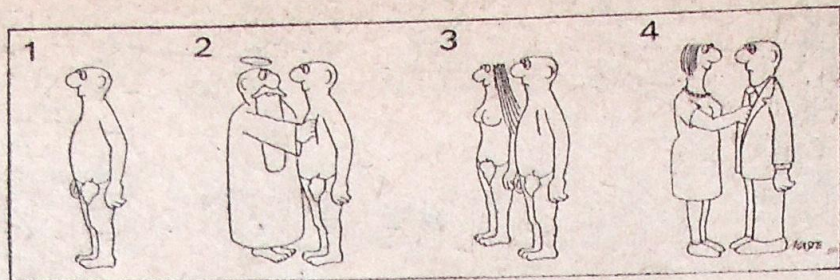
Nasz adres: Redakcja „Konkretów”, pl. Chopina 2, 59-220 Legnica. Termin nadsyłania opinii upływa 31 stycznia 1980 roku.

TYGODNIK Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch”. WYDAWCA: Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe, Podwole 62, 50-950 Wrocław. REDAGUJE zespół: Ryszard Adamów, Grzegorz Chmielowski, Krzysztof Dębek, Włodzisław Kisił (red. naczelny), Zbigniew Krupa, Zygmunt Łuszcz, Czesław Pańczuk (z-ca sekr. red.) Elżbieta Pomorska (red. techniczny), Krzysztof Raczkoński (fotoreporter), Maria Samborska (sekretnarz redakcji), Waldemar Sikorski (fotoreporter, ADRES REDAKCJI: 59-220 Legnica, plac Chopina 2, TELEFONY: redaktor naczelny — 241-46, sekretarz redakcji — 241-49, zastępca sekretarza redakcji — 299 25, publicysta — 216-41, 213-42, fotoreporterzy — 216-43, biuro ogłoszeń — 292-42. OGŁOSZENIA DROBNE przyjmuje się codziennie w godzinach pracy redakcji (8.30—15.30) w Legnicy, pl. Chopina 2, INFORMACJI w sprawie prenumeraty udzielają placówki RSW „Prasa-Książka-Ruch”, urzędy pocztowe listonosze.

DRUKUJĄ Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” Wrocław, ul. Piotra Skargi 35. Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzegę się również prawo skracania materiałów nie zamówionych.

KONKRETY

Indeks 36272



ZDANIEM MISTRZA



Fred Astaire ma dziś 80 lat. Karierę tancerza i aktora rozpoczął mając lat 8 a więc w roku 1907. Zapytany o najważniejsze z tamtego okresu, odpowiedział: — Nie było wtedy Johna Travoltę i nie było disco. To, co się na dyskotekach dzieje, przypomina raczej asynchroniczne hopsanie paraliatyków, niż taniec. Ciekawe, czy zgadzają się z tym bywalcy naszych dyskotek?

Z GABROWA

Mieszkaniec Gabrowa jedzie do Sofii, aby odwiedzić syna, który w stolicy pobiera nauki. Po serdecznym powitaniu chłopak melduje ojcu z dumą: — Tato, zaoszczędziłem dziś 4 stotinki! Zamiast jechać na uczelnię tramwajem, cały czas za nim biegłem. — Dureń! — skwitował te wiadomości ojciec.

— Gdybyś biegł za taksówką, oszczędziłbyś 10 razy więcej!

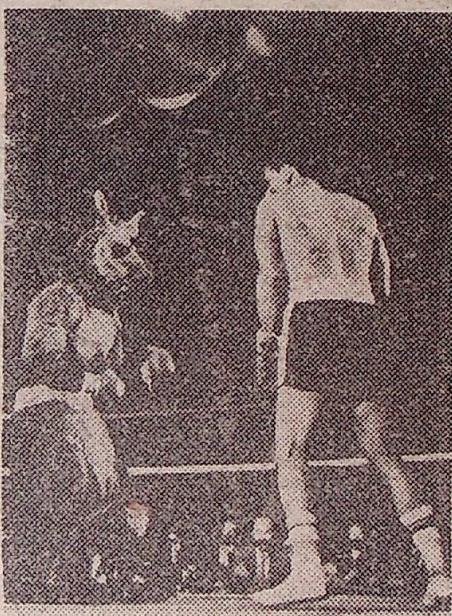
☆

— Tatusiu! — oznajmia synek ojcu. — Miałem dziś w nocy wspaniały sen. Snilem, że kupiłeś mi za 5 lewa czekolady. Na to rodzic: — Jeżeli będziesz nadal grzeczny, może ci się przyśni w przyszłym roku, że kupiłem ci cały kilogram...

POJEDYNEK Z KANGUREM

Tego jeszcze nie było: z kangurem pojedynek na ringu. Scena pochodzi z amerykańskiego filmu kręconego w Australii, bohaterką jest Matylda — kangurzyca, pasjonująca się między innymi boksem. Przy okazji okazało się, że kangury uczą się pięściarstwa bardzo szybko. Gorzej z zasadami fair play. Po każdym nokaucie zwierzę funduje powalonemu solidnego kopniaka.

I nic nie jest w stanie je przed tym powstrzymać.



NAJPIERW BYŁA MODELKĄ



Nikki Gentile pozowała do zdjęć dla agentury mody „Wilhelmina” w Nowym Jorku, fotografował ją sam Richard Avedon. Amerykanka włoskiego pochodzenia pracowała właśnie w Mediolanie, kiedy spotkał ją reżyser Flavio Mocherini i zaproponował rolę w filmie „Nobile Venziano” u boku Marcello Mastroianniego. Nikki propozycję przyjęła i aktorski debiut potraktowała bardzo poważnie. Ukończyła słynne „Actor's Studio” w Nowym Jorku, wróciła do Włoch i w rzymskim Cinecittà nakręciła kilka dalszych filmów. Teraz zaangażowała ją hollywoodzka sława — Martin Scorsese („Taksówkarz”) do swego kolejnego dzieła. Nikki przestała być modelką, jest aktorką.



LISTY DO JULII



Na Via Capotolli w Weronie przynadzi stać wiele listów. Adresowane są do Romea i Julii — bohaterów szekspirowskiego dramatu. Lub tylko do Julii. Piszą najczęściej dziewczęta w wieku lat 14—22, które dzielą się z Julią swymi miłosnymi kłopotami, proszą o radę albo pocieszenie. O dziwo — listy nie pozostają bez odpowiedzi. Paola Sella, 23-letnia studentka socjologii, pełną obowiązków „sekretarkę” Julii, każdą korespondencję dokładnie czyta i do nadawczyń śle rozmaite porady. W ten sposób dorabia do stypendium. W tygodniu redaguje około 250 odpowiedzi.

STWÓRCA WOLAŁ PULCHNIUTKIE

Prawdziwą kampanię na rzecz obrony kobiet o znacznej nadwadze rozpętała Andrea Ferreol — włoska aktorka stale mieszkająca w Paryżu. Oczywiście także dość tłuszcziutka. Jej podstawowy argument

reklamowy, w tej kampanii brzmi: — Gdyby idealnym stwórcą była kobieta podobna do tych wysmukłych i okropnie szczupłych modelek wystarczyłoby obciągnąć szkielet skórą. Tymczasem stwórca wyposażał ją w szereg całkiem nie najmniejszych kłopotów.

ROZMOWA Z KOKO

Koko jest pierwszą na świecie gorylicą, z którą można się porozumieć przy pomocy języka migowego. Ma 7 lat, waży 70 kg, zna 375 słów. Nauczyla ją tego w ciągu 6 lat jej opiekunka, 30-letnia Francine Pat-

terson, doktorantka Stanford University w San Francisco. Koko zna o 20 proc. znaków więcej niż słynna szympanśica Washoe, która też potrafiła porozumiewać się z ludźmi.

